

ELŻBIETA GIZELA ERBAN

OCZAMI DZIECKA

Lata pionierskie 1945 - 47

Niniejsza praca otrzymała I-wszą nagrodę w ogólnopolskim konkursie na wspomnienia osadników. Wspomnienia publikowane były w tygodniku rzeszowskim "PROFILE", miesięczniku "KARKONOSZE" oraz czytane w radio Wrocław.

Słynny reżyser filmowy Roman Polański, powiedział raz, że powinniśmy utrwalac każde wspomnienie dotyczące lat wojny i okupacji oraz wczesnego okresu powojennego, ponieważ jesteśmy ostatnim pokoleniem pamiętajac tamte czasy. Po II wojnie światowej, na naszych oczach, kształtowała się w szalonym tempie, zupełnie nowa epoka technizacji, której odzwierciedleniem stała się pogoń za pieniądzem, globalizacja, komercja, swoboda seksualna, a także upadek wszelkich autorytetów i hamulców moralnych, brak ideałów.

W naszych czasach wylęły się trzy straszliwe plagi ludzkości, grożące zagładą cywilizowanego świata; broń atomowa, Aids i zniszczenie środowiska naturalnego. Żaden najgenialniejszy nawet wynalazek XX-go i XXI wieku, nie może być zadośćuczynieniem za zatrutą atmosferę i glebę, oceany i rzeki, za ginącą nieuchronnie przyrodę, którą my jeszcze pamiętamy z czasów młodości, czystą i nieskalaną.

Należę do tragicznego pokolenia, czujacego się w jakimś sensie wyobcowane i oszukane. Wojna pozbawiła nas radosnego dzieciństwa, nauczyła patrzeć okiem dorosłego człowieka na rzeczy tak przerażające, jakich żadne dziecko nigdy nie powinno oglądać. Lata wojny często uczyły strachu i zakłamania, łamały i paczyły młode charaktery. Zaowocowało to w dorosłym już wieku.

Nie byliśmy pokoleniem Kolumbów, którym dane było z bronią w ręku walczyć o wolność ojczyzny i ginąć "jak kamienie rzucone na szaniec". Nie należeliśmy do pokolenia, które krwią i ogromnym wysiłkiem wywalczyło w 1918 roku, niepodległość po 126 latach niewoli. My byliśmy pokoleniem, wstępującym w życie w okrutnych czasach stalinowskiego terroru, kolejno obdzieranym z wiary w Boga, patriotyzmu, nazywanego złowrogo nacjonalizmem, oraz nadziei na lepszą przyszłość. Odebrano nam złudzenia w nieomylność kolejnych autorytetów i ekip rządzących, co jakiś czas zwalanych z hukami z piedestałów.

Moje pokolenie potrafiło dokonać jednak rzeczy niezwyklej w dziejach Polski, po raz pierwszy bezkrwawo wywalczyło wolność. Ale czy naprawdę jest tak, jak tego pragnęliśmy? Bardzo w to wątpię. Dlatego też, aby oderwać myśli od dnia dzisiejszego, uciekam pamięcią w świat wspomnień dzieciństwa, być może smutnego i często głodnego, lecz momentami zabawnego i miłego. Wspomnienia te są w pewnym sensie historyczne, ponieważ losy polskiej rodziny są przecież drobną częścią dziejów ojczystych.

Matka moja była rodowitą poznanianką, ojciec urodził się w Rzeszowie, chociaż korzenie obu rodzin sięgały dawnych Kresów Wschodnich. W dzieciństwie często zadawano mi pytanie:

- Które miasto lubisz, kochanie, więcej, Rzeszów czy Poznań? - i tymi pytaniami obrzydzono mi oba te piękne miasta na długie lata.

Dla mnie prawdziwa egzystencja, rozpoczęła się pewnego ponurego, październikowego dnia, 1945 roku, kiedy moja noga stanęła na dworcu kolejowym, okropnie zniszczonego miasteczka, noszącego obcą nazwę Bunzlau!

We wtorek wyjeżdżamy! - decyzja o tym zapadła w momencie, otrzymania listu od ojca, w którym zalecał nam pośpiech.

Wszystkie bagaże były już spakowane, a cały dom od suterenu do poddasza, emocjonował się tą nowiną. Sąsiedzi, mieszkający od urodzenia w jednym mieście i miejscu, komentowali z dezaprobatą decyzję matki, która w tak niespokojnych czasach, odważyła się wyruszać w daleką drogę z sześciolatnim dzieckiem, czyli mną!

Był początek października 1945 roku.

Ojciec, oficer Wojska Polskiego, (we wrześniu 1944 roku, zdecydował się wstąpić do służby wojskowej w rzeszowskim RKU, Rejonowa Komenda Uzupelnień) i od sierpnia 1945 roku, przebywał na Ziemiach Zachodnich, w jakimś zapadłym miasteczku Bunzlau, o jakim żaden mieszkaniec Rzeszowa nigdy nic nie słyszał. Pomimo niepokojących wiadomości krążących o "dzikim Zachodzie", matka postanowiła podzielić los ojca i tam właśnie się osiedlić, kiedy zgasła nadzieja powrotu do rodzinnego Poznania. Naszej spokojnej rodzinie i sąsiadom, żyjącym od zawsze w jednym miejscu, nie mieściło się wprost w głowach, żeby dobrowolnie porzucić wygodny dom, ustabilizowane życie i szukać gdzieś guza, na zachodnich kresach Rzeczypospolitej. Babcia w rozpacz łamała ręce, przepowiadając nam ponuro marny koniec. Ciocia Mania codziennie przynosiła z miasta hiobowe wieści, o napadach, morderstwach, głodzie i gwałtach na kobietach, dzieciach i kozach.(sic!) Informowała nas o tym ze świętą zgrozą, namawiając matkę gorąco, by zmieniła decyzję i pozostała.

Ciocia Stasia przestała wieczorami grać na fortepianie Chopina i tylko jakimiś burzliwymi etiudami dawała wyraz swemu przygnębieniu. Dziadzio Tadeusz nie mówił nic, lecz swoim zwyczajem, wetknąwszy nos w książkę, ciężko wzdychał. Babcia wyczerpawszy wszystkie argumenty, wołała rozpaczliwie:

- Tadzio, zrób coś!

Dziadzio podnosił głowę i odpowiadał z rezygnacją:

- Przecież widzisz, Pelu, że się martwię. - potem wracał do przerwanej lektury, hałaśliwie wycierając nos w chusteczkę.

A mnie nic nie obchodziło, co kto mówi. Byłam nieprzytomna z podniecenia i ekscytacji, i zachowywałam się tak nieznośnie, że matka musiała przywoływać mnie do porządku za pomocą kilku mocnych klapsów. Szalałam wprost z radości, że pojedę wojskowym pociągiem i cieszyłam się nadzieją spotkania długo nie widzianego ojca. Matka z właściwym sobie uporem nie zmieniła powziętej decyzji. Przez kilka dni poprzedzających wyjazd, chodziłyśmy żegnać się z rodziną, znajomymi i miastem, które kochałam. Tutaj przez sześć lat mieszkaliśmy i przeżyliśmy koszmar okupacji hitlerowskiej, powracający ciągle w moich złych snach. Żegnałyśmy ulubiony kościół farny, gdzie ojciec i ja byliśmy ochrzczeni, oraz cmentarz na Pobitnem, na którym spoczywali krewni i koledzy ojca, żołnierze Armii Krajowej, pomordowani bestialsko przed samym wyzwoleniem. Na ich grobie składamy wiązanki jesiennych astrów. W tym roku nie zapalimy tu już znicza w Dzień Zaduszny. Odnoszę wrażenie, że odrywamy się od swoich korzeni, żeby szukać nowego bytu.

Pod murami Zamku Lubomirskich, w parkowych alejkach, wielkie kasztanowce ronią pożółkłe liście. Spoglądam na ponure zamczysko z przerażeniem. Ze wspomnień rodzinnych wiem, że tutaj więziony był mój pradziad Władysław (Laśzlo) Erban, powstaniec z 1863 roku, żołnierz legendarnego generała Dionizego Czachowskiego. W czasie okupacji, w tymże Zamku było więzienie gestapo. Został w nim rozstrzelany przyjaciel mego ojca, pan Konstanty Kubień, żołnierz Armii Krajowej. Znosząc bohatersko potworne tortury, nie wydał nikogo, pozostawiając po sobie pamięć dzielnego Polaka i najlepszego człowieka. Obecnie Zamek jest siedzibą Urzędu Bezpieczeństwa wzbudzającego postrach, a puste już cele, ponownie zapełniły się więźniami, przeważnie żołnierzami Armii Krajowej. W małych, zakratowanych okienkach, mignie czasami czyjaś twarz. Matka i rodzina, z ulgą przyjęli do wiadomości fakt, iż ojciec zniknął z tego

niebezpiecznego terenu i znajduje się na drugim krańcu Polski. Ze względu na swą przynależność do AK, mógł się obawiać jakiejś wpadki i aresztowania.

Nadszedł dzień wyjazdu.

Matka od rana biegała zdenerwowana, upychając do walizek jeszcze jakiś zapomniany łaszek lub przedmiot, w domu niepotrzebny, lecz tam, na Zachodzie, z pewnością niezbędny. Cała rodzina patrzyła na nas ze strachem, zastanawiając się, czy damy sobie radę z piętzącymi się tobołami, w których mieścił się cały nasz dobytek. Miałyśmy jechać nocnym transportem wojskowym, i w RKU, oprócz suchego prowiantu, wydano matce specjalny bilet na przejazd do tego Bunzlau.

Był już wieczór, jesienny, chłodny i wietrzny. Wczesna październikowa noc zakryła znajome drzewa w ogrodzie i płynący w dole Wisłok, tak bardzo przeze mnie kochany. Byłam bardzo senna i mimo woli rozglądałam się za moim łóżeczkiem i misiem, zawsze śpiącym ze mną. Niestety, ani łóżeczka, ani misia już nie ma. Matka oddała wszystkie moje rzeczy znajomej pani. Możemy zabrać z sobą tylko niezbędne przedmioty i odzież.

"Dziki Zachód" wyobrażałam sobie jako nieokreślony bliżej obszar, zasiedlony wrogimi Niemcami, strzelającymi do nas z wszelkiego rodzaju broni. W marzeniach przeżywałam już wspaniałe przygody, kończące się dla mnie zawsze szczęśliwie. Moja siostra cioteczna Danusia, przypatrywała mi się podejrzliwie, bo nagle stałam się tajemnicza i zarozumiała, traktując znajome dzieciaki z wyraźną wyższością i lekceważeniem. Miało to dla mnie niemiłe konsekwencje, bo zostałam wyśmiana i zignorowana przy zabawie, jakbym była obca. Z wściekłości pobiłam się mocno z moim dotychczasowym przyjacielem Włodkiem i obrażona, z rozbitym nosem, nie pożegnałam się z nim wcale.

Zasiedliśmy do ostatniej w domu kolacji. Oczy kleiły się ze zmęczenia i naraz poczułam, że jest mi bardzo przykro i żal naszego pięknego domu i spokojnego życia. "Dziki Zachód" już nie wydawał się taki atrakcyjny. Chciałam się położyć i zasnąć. Dziadek, widząc moją żalną minę, poradził mamie, by dołąła mi do herbaty odrobinę araku. Wypiłam napój duszkiem, oblizałam się i nagle zaczęłam ryczeć, jak ciele prowadzone na rzeź.

- Ja nie chcę nigdzie jechać! Mamusiu, zostanmy z babcią i dziadkiem! - zawodziłam głośno.

Cała rodzina zaczęła mnie pocieszać i przytulać, a mnie zrobiło się bardzo wesoło. Przestałam zalewać się łzami, coś głośno mówiłam i się śmiałam. Byłam po prostu ululana! O 22-tej zajechała przed dom dorożka i mama, przy pomocy ciotek i sąsiadów, zaczęła ładować do niej nasze bagaże. Potem rodzina i wszyscy sąsiedzi, brali nas w ramiona i żegnali się pochlipując. Poczułam zazdrość, że Danusia za chwile położy się spać do swojego łóżka i spokojnie zaśnie. A ja? Na myśl o rozstaniu z kuzyneczką, serce ścisnęło mi się boleśnie. Razem się wychowałyśmy i pomimo częstych kłótni, byłyśmy do siebie bardzo przywiązane. Wyrrywam się z objęć ciotek i wybiegam na balkon, żeby po raz ostatni spojrzeć na rzekę i Olszynkę, ale gęsta jesienna mgła zasłania widok. Znajome drzewa w ogrodzie, wieczorem przybierają widmowe kształty.

Z dumną miną wsiadłam do dorożki, nie mogąc odżałować, że nie widzi mnie Włodek. Stara trzęsąca dorożka i dychawiczny koń, wydawały mi się wówczas wykwintnym środkiem lokomocji, godnym dzisiejszego "Jambo Jeta". W drodze na dworzec kolejowy, towarzyszyły nam trzy ciocie, a reszta rodziny zgromadziła się przy ogrodowej furtce, żegnając nas płaczem i życzeniami szczęśliwej podróży. Babcia kreśliła za nami znak krzyża. Długo oglądałam się za siebie, wpatrując się w światło we frontowym pokoju. Kiedy znikło zakryte drzewami, rozplakałam się z żalu.

Na dworcu kolejowym było prawie pusto, tylko po peronie przechadzały się patrole wojskowe i milicyjne, z pepeszami przewieszonymi przez ramię. Dokoła nas wyrosła spora sarta bagaży. Pociąg naturalnie jest opóźniony i czekamy, stojąc na peronie, w przenikliwym chłodzie, i dzwoniąc zębami. Z emocji i niewyspania mam dreszcze i marzę o łóżku. Niestety, nie wiadomo kiedy i gdzie położę się do łóżka. Nie mam już domu, a ten znany od zawsze i bardzo kochany, stanie się za chwilę tylko wspomnieniem. Po dwóch godzinach, na horyzoncie pojawia się światło,

a szyny zaczynają drgać, w miarę zbliżania się pociągu. Naraz na peronie robi się tłoczno, nie wiadomo skąd, zjawiają się ludzie, obładowani walizkami, tobołkami i jakimiś bambetlami. Stają wzdłuż peronu, wychodzą z sali dworca, skaczą przez tory. Na stację wjeżdża olbrzymi eszelon załadowany wojskiem oraz sprzętem wojskowym. Kilka wagonów przeznaczono dla żołnierzy rannych w czasie pacyfikacji Bieszczad. Wagony są naturalnie towarowe. Ludzie z wysiłkiem dźwigają swoje manatki, chwytają na ręce dzieci i starają się siłą wcisnąć do zapchanego pociągu. Ale patrole żandarmerii i MO, bronią im wejścia, gdyż pociąg przeznaczony jest wyłącznie dla żołnierzy i ich rodzin. Podnosi się straszny wrzask. Podróżni przechodzą pod wagonami i próbują od tyłu wcisnąć się gdzieś, do jakiegoś kąta, obojętnie gdzie, byle tylko jechać.

Mama udręczona i zdenerwowana, klóci się z nadgorliwym i tępym milicjantem, który brutalnie odpycha nas od wagonu. Podtyka mu pod sam nos przepustki i bilety. Nareszcie zrozumiał i pozwala nam wsiąść. Teraz następuje serdeczne, lecz krótkie pożegnanie z rodziną. Ciocie z płaczem wciskają mi do rąk torebki z cukierkami i paczkę ciastek z cukierni pana Ładosia. Wsiadamy, a ciocie i jakiś usłużny żołnierz, podają nam bagaże. Oj, coś dużo tego! Obie z mamą uginamy się wprost pod ich ciężarem. W brudnym wagonie jest niemal ciemno i cuchnie dymem taniej machorki, medykamentami i słodkawym odorem moczu. Na drewnianej skrzynce pali się wątlmym płomykiem świeczka. Jest tłoczno, ale gościnni żołnierze robią nam miejsce w samym kącie wagonu. Kochana mama stara się jak może, aby nieco umilić mi ten prymityw. Rozściela na podłodze koce, kładzie poduszki i sadza mnie w miękkiej pościeli. Z termosu nalewa do kubka gorącą kawę, prawdziwą, zdobytą na czarnym rynku! Powoli robi mi się ciepło i przyjemnie. Mama siada obok mnie, a na honorowym miejscu stoi mój nocniczek, elegancko owinięty w kolorowy papier i przewiązany wstążeczką!

Pociąg tkwi na stacji już od kilku godzin i nic nie wskazuje na to, że szybko ruszy. Kiedy już wszyscy tracą cierpliwość i klną kolejarzy, pociąg nagle szarpie i cofa się gwałtownie. Z rozpędu padamy do tyłu, zaraz potem przy zgrzycie hamulców, rwie do przodu. Oddajemy głęboki pokłon panu maszyniście, waląc głowami o ścianę. Budynki stacyjne wolno przesuwają się do tyłu i giną w mroku. Nikną światła miasta. Pociąg nabiera prędkości, koła rytmicznie wybijają takt na spojeniach szyn. Nocny wiatr porusza dziurawym kocem, zasłaniającym otwarte okienko.

Mój znajomy od dzieciństwa świat pozostaje daleko za nami.

Ranni żołnierze nawiązują z nami rozmowę, wypytując, dokąd jedziemy i po co? Dziwią się i podziwiają odwagę mamy. Chyba nie tylko odwagę, lecz i urodę, bo moja mama jest bardzo ładna. Któryś z chłopców, ranny w nogę, wyciąga z kąta harmonię i zaczyna grać: "Nie szumcie wierzby nam". Smętne dźwięki instrumentu sprawiają dziwne wrażenie w tym miejscu, pełnym cierpienia. Ranni podchwytyją melodię i półgłosem unisono nucą. Pomimo niewygód nastroj jest przyjazny, a ludzie sobie życzliwi. Przecież minęło dopiero pięć miesięcy od zakończenia najstraszliwszej wojny w dziejach ludzkości. Ciągle jeszcze nie możemy zapomnieć koszmaru okupacji, nieskończenie długich lat udręki i czasu, kiedy to wbrew opinii, jaką o sobie mamy, Polak Polakowi starał się być bratem. Dla tych biednych, rannych żołnierzy wojna już się skończyła. Zresztą każdy z podróżnych ma nadzieję na ułożenie sobie nowej, lepszej przyszłości. W większości, ludzie jadą, tak jak i my, na Zachód, na tak zwane Ziemie Odzyskane.

Wielu żołnierzy jest bardzo ciężko rannych. W Bieszczadach toczy się jeszcze krwawa i okrutna wojna z bandami UPA i resztkami hitlerowskich oddziałów SS, kryjących się w gęstych borach i górach. W tamtejszych lasach znajdują także schronienie żołnierze z AK, WiN¹ – u, NSZ² i inni, dla których nowa władza jest przedłużeniem okupacji, tym razem radzieckiej. Ojciec, będący jakiś czas szefem Komisji Poborowej w Krośnie, opowiadał nam, o dzikiej i strasznej walce wszystkich, przeciwko wszystkim. Wyszedł stamtąd cały niemal cudem.

Żołnierze także wspominają przerażające historie o metodach walki członków organizacji

1 Wolność i Niepodległość – tajna organizacja militarna.

2 NSZ – Narodowe Siły Zbrojne – tajna organizacja militarna.

UPA. Doprawdy, w głowie się nie mieści, skąd w ludziach tyle wynaturzonego okrucieństwa. Czasy są bardzo trudne i ludzie już są podzieleni. Na tych, którym nowa rzeczywistość się podoba – są to przeważnie biedacy, najczęściej uboga wieś, - oni bezkrytycznie wierzą w obietnice nowego rządu. A także ci, dla których ideologia socjalistyczna jest nie do przyjęcia. Trudno się w tym wszystkim połapać i strach, żeby komuś nie podpaść.

Jeden z żołnierzy ostrzega mamę, że na Dolnym Śląsku działają jeszcze doskonale uzbrojone oddziały partyzantki niemieckiej, tak zwanego Werwolfu – czyli „Wilkołaków”. Jezus Maria, a tatuś ciągle przebywa w terenie! Przytulam się do boku mamy i naraz zaczynam się bać. Mama wprawdzie nie okazuje strachu, lecz zapewne myśli o tym samym co ja. Powoli trafia do mojej świadomości, że marzenia o przygodach, w zetknięciu z ponurą rzeczywistością, skończą się dla mnie przykrym rozczarowaniem. Harmonia milknie, za to coraz głośniejsz rozlegają się stłumione jęki i stękania. Młodziutki chłopiec leżący w pobliżu, powtarza w gorączce: „O mammo, mamusiu!” Sanitariusz poprawia mu opatrunki i z rezygnacją potrząsa głową. Dla kilku z tych biedaków, ta podróż będzie ostatnia w życiu. Świeczka zgasła, w wagonie jest ciemno i duszno. Czuć odrażającą woń jodoformu i ropy. Koła wystukują rytmicznie: „do domu, do domu, do domu”...ale my już nie mamy domu.

Zbiera mi się na płacz. Boję się tej nocy, pełnej zaduchu, cierpienia, odzywającej się do mnie jękami rannych. Tak diametralnie innej od spokojnych i bezpiecznych nocy, przespanych w moim łóżeczku w domu dziadków. Wracam pamięcią do ulubionych letnich wieczorów. Ciozia Stasia przy fortepianie gra walce Chopina. Babcia podsuwa mi i Danusi talerz z dojrzałymi czereśniami lub cierpkimi morwami z naszego ogrodu. Marzę, żeby znowu pobiec na bosaka brzegiem Wisłoka, na przełaj przez Olszynki, wdychając zapach nagrzanej wody, wikliny i ryb.

Pewna byłam, że tej nocy nie zasnę. Jednak gdy przytuliłam się do mamy, pociągnęłam rozżalona nosem i niemal natychmiast zapadłam w mocny sen.

Ta podróż ciągnie się nieskończenie długo i jest ogromnie męcząca. Stoimy na każdej stacji wiele godzin, a czasem postój trwa kilka dni! Nie można przewidzieć, jakie przeszkody czają się przed nami. Lokomotywa psuje się co pewien czas. Maszynista z palaczem grzebią coś w jej wnętrzu, otoczeni tłumem zdenerwowanych pasażerów. Kiedy wszyscy wpadają we wściekłość i sięgają z musu do portfeli, usterkę jakoś daje się usunąć i ruszamy w dalszą drogę.

W Krakowie wyniesiono rannych żołnierzy. Bardzo ich żałowałam, bo pomimo cierpienia chłopcy byli weseli. Na ich miejsce wstawiali się cywile i miły nastrój diabli wzięli. Kobiety kłóca się zajadle o wodę, o miejsce, o dzieci. Komuś przeszkadzają czyjeś nogi w przepoconych skarpetkach. Ktoś inny ma pretensje o uchylone drzwi i skarży się na przeciągi. Dzieciaki biegają pod nogami dorosłych jak oszalałe, psocąc i rycząc na przemian. Na każdym postoju tworzą się długie kolejki ludzi, pragnących załatwić fizjologiczną potrzebę. Kobiety ze spódnic i koców tworzą coś w rodzaju parawanów i łudząc się, że nikt ich nie widzi, siusiąją pośpiesznie i wstydliwie. Ja mam stosunkowo luksusowe warunki, bo przykryta kocem, mogę spokojnie korzystać z nocniczka. Nie jest to wprawdzie wygodna łazienka, ale zawsze.

Do Katowic przyjechałyśmy wczesnym rankiem. Wsiadłyśmy z wagonu czarne i ledwie żywe ze zmęczenia. Cieszymy się na myśl o kąpieli i wyspaniu się w prawdziwym łóżku. Mama martwi się, jak damy sobie radę z naszymi bagażami. Na szczęście na peronie jest tragarz i za słoną zapłatą zgadza się zawieść nasze tobołki pod wskazany adres. Drzwi otwiera nam ciocia, niebotycznie zdumiona naszym widokiem. Nie czekając na śniadanie, korzystamy z kąpieli w łazience i pakujemy się do łóżka. Po raz pierwszy od kilku dni, zasypiam nie słysząc już nienawistnego stuknięcia kół wagonu. Przerwa w podróży była konieczna. Okazuje się, że nasze bagaże są za ciężkie, nie damy rady zabrać ich z sobą. Mama zdawała sobie sprawę, że czekająca nas podróż będzie coraz bardziej uciążliwa, wobec tego musimy pozostawić część bagaży w Katowicach.

W owych czasach, połączenia kolejowe z Dolnym Śląskiem były rzadkie i należało korzystać z każdej okazji, jaka się trafiała. W katowickim RKU, mama dowiedziała się, że nazajutrz dotrze do Katowic transport wojskowy, jadący do Wrocławia. Zdane wyłącznie na własne siły, o dalszej podróży myślałyśmy z przerażeniem. Mama przepakowała walizki, zabierając jedynie rzeczy niezbędne, lecz i tak bagaż był bardzo ciężki. Na drugi dzień, w samo południe, wsiadłyśmy do taksówki i pojechałyśmy na dworzec, odprowadzane kurtuazyjnie przez wujka.

W hali dworca kłębił się ogromny tłum, stosy waliz i tłumoków utrudniały przejście. Na peronie koczowali źli, zmęczeni ludzie, siedzący apatycznie na swoich walizkach. Przeszedł nas zimny dreszcz na samą myśl, co tu się będzie działo, kiedy nadejdzie pociąg. Wujek, ujrawszy to ludzkie mrowisko, pośpiesznie się pożegnał, tłumacząc się potrzebą dotarcia na czas do tworzonego od podstaw Uniwersytetu. Wuj miał ukończone we Wiedniu dwa fakultety: doktora filozofii i profesora biologii. Ale w tym momencie najchętniej zamieniłybyśmy dwa jego fakultety na jednego silnego tragarza, który pomógłby nam dostać się do wagonu.

Zostałyśmy same na zapchanym peronie, z ciężkimi walizami rzeczy, z których już nie można było zrezygnować. Czułyśmy się w tym tłumie samotne, bezradne i zagubione, zdane na łaskę Opatrzności lub szczęśliwy traf. Biedna mama liczyć mogła jedynie na własne siły, bo ja byłam raczej dla niej ciężarem niż pomocą. Siedziałyśmy na walizkach, przytulone do siebie i zdawałyśmy sobie sprawę, że biorąc na zdrowy rozum, nie mamy absolutnie żadnych szans na dostanie się do wagonu w momencie, gdy dojdzie do szturmowania pasażerów na pociąg. Żeby przebić się przez ten groźny mur ludzkich ciał, trzeba chyba czołgu. W chwili, gdy tłum runie przed siebie, to nas po prostu zdeptają, jak to zdarzyło się mojej babci, powracającej po wojnie z wygnania, do ukochanego rodzinnego miasta Poznania. Cudem nie zginęła pod nogami oszalałego tłumu, ale odniesiona wówczas poważna kontuzja, była po kilku latach przyczyną jej śmierci.

Godzina za godziną płynęły powoli, a na peron nieustannie napływają nowe fale pasażerów. Zdawać się może, że to jakiś nowy Exodus wyrusza na Ziemię Zachodnią. Niektórzy podróżni chcą dowiedzieć się od nas, kiedy nadejdzie pociąg. Mama, zmęczona i zmartwiona, bezradnie wzrusza ramionami. Wiemy tyle, co oni, to znaczy nic! Jakiś dowcipniś wspina się na palce i krzyczy:

– Jedzie! Jedzie!...

Podróżni momentalnie się zrywają, chwytają swoje bagaże, sprężeni, gotowi do skoku. Potem klną żartownisia i zawiedzeni, ponownie sadowiają się na swoich miejscach. Nadchodzi wieczór. Po pogodnym dniu, czerwone i ogromne słońce, zachodzi za nadciągające z północy, granatowe chmury. Z oddali rozległ się gwizd nadjeżdżającego pociągu. Ludzie z niesamowitą wprost intuicją zgadują, że to właśnie ten pociąg, na który wszyscy czekamy. Szyny zaczynają cicho brzęczeć, a cały peron drży. Długi transport załadowany czołgami i działami, wtacza się majestatycznie na stację. Ogromna lokomotywa sapie ciężko, otaczając się kłębamii pary. Na otwartych lorach, stoją wojskowe samochody, strzeżone przez uzbrojonych radzieckich wartowników. W otwartych drzwiach kilku osobowych wagonów, stoją polscy i rosyjscy oficerowie.

Na peronie tłum gwałtownie zafalował i w następnej chwili przypuścił szalony atak do drzwi i okien wagonów. Próbowaliśmy się zbliżyć, lecz brutalnie odepchnięte, musiałyśmy się cofnąć, ratując się przed zdeptaniem. Chwyciłyśmy się z mama kurczowo za ręce, aby się nie zgubić w tym tłumie. Na naszych oczach rozgrywały się niesamowite sceny. W tych ludzi jakby szatan wstąpił! Choćby po trupach, lecz do wagonu wejść muszą! Szarpią się, odpychają, biją tych, co im wchodzą w drogę, deptają słabszych, klną i modlą się na przemian. Silni mężczyźni pierwsi wdarli się do wagonów i starają się wciągnąć tam swoje rodziny. W powietrzu fruwały walizki, worki, kapelusze i resztki oberwanej odzieży. Straszne wrzaski rozdzierają nam uszy. Jakaś starsza kobieta przewraca się na peron pod naporem tłumu, a ludzie deptają po niej niemiłosiernie. Jej córka, łkając spazmatycznie, usiłuje wyciągnąć matkę spod nóg rozszalałych pasażerów. Z pomocą przychodzi jej jakiś młody żołnierz. Silnymi ciosami pięści roztrąca ludzi i razem z dziewczyną wyciągają zemdloną kobietę.

- Tej pani potrzebny jest szpital, a nie podróż. - stwierdza mama i ma rację, bo dziewczyna i żołnierz niosą zakrwawioną kobietę do hali dworca.

Ludzie z zaciśniętymi ustami i determinacją w oczach, dalej pchają się do pociągu, odrzucani przez wartowników wyjaśniających, że jest to transport wojskowy. Nikomu ich słowa nie trafiają do przekonania. Podróżni włączają się na dach, na bufory, sadowią się gdziekolwiek, byle tylko ucześcić się i jechać. Widok szturmującego tłumy na pociąg przeraża mnie, bo jest zbyt brutalny i boję się, żeby nie spotkała nas ze strony tych ludzi jakaś krzywda. Marzę, by powrócić do domu, lecz to już niemożliwe, musimy jechać do celu naszej podróży. Stoimy zrezygnowane i zrozpaczone, bo szanse dostania się do wagonu maleją z każdą upływającą chwilą. Ten transport nie będzie stał tutaj długo, bo widzimy jak zmieniają lokomotywę. Po krótkim postoju z pewnością niedługo ruszy.

Mama śpieszy się, żeby dojechać do tego przekłętą Bunzlau, jeszcze przed wyjazdem ojca w teren z Komisją Poborową. Ojciec ma nam przygotować mieszkanie i urządzić nas na nowym miejscu. Jeżeli nie zdążymy, ojciec wyjedzie na dłuższy czas i zostaniemy same w nieznanym mieście. Nie możemy odłożyć podróży, gdyż zimą podróżowanie w tych warunkach jest niemożliwe. Musimy dostać się do pociągu, dosłownie oblepionego ludźmi. Ci, dla których nie starczyło miejsca w wagonach, wiszą jak cyrkowcy na stopniach, leżą na dachach i siedzą na zderzakach. Służba kolejowa spędza ich stamtąd, ale oni uparcie wracają.

Zrezygnowane, podnosimy nasze walizki i wolno idziemy wzdłuż pociągu, w jakiejś złudnej nadziei, że może jednak.... Mama podnosi głowę i spojrzeniem błaga o pomoc stojących na stopniach wojskowych. Jednak oprócz nas, na peronie stoją inni podróżni, mają złe oczy i gotowi są pięścią lub kopniakiem odpędzić nas od wagonu. Pot spływa nam po twarzach pomimo chłodnego dnia, idziemy, ciągnąc za sobą ciężkie walizy, a nogi uginają się pod nami, jakby były z gumy. Robi mi się słabo, gdyż od rana nie miałam nic w ustach, a żywność i termos mama zapakowała w koszu.

Lokomotywa już pod parą, a na peronie pojawia się dyżurny z „lizakiem” w dłoni. To koniec naszej podróży. Nikt nam tu nie pomoże i będziemy musiały wrócić do Rzeszowa. Wyobrażam sobie, jak ojciec się zmartwi, kiedy nie przyjedziemy w oznaczonym terminie. Staliśmy bezradnie przy jakimś wagonie, patrząc na siebie z rozpaczą. Po bladej twarzy mamy spływają łzy i prędko odwraca głowę, żebym nie dostrzegła, że płacze.

Naraz drzwi wagonu otwierają się i na peron wyskakuje oficer radziecki. Skinieniem ręki przyzywa nas do siebie. Łamanym językiem pyta mamę, dokąd chcemy jechać?

- Do Bunzlau. Mój mąż jest tam oficerem. - odpowiada mama cichym głosem i podaje mu bilet oraz przepustkę.

- Bunzlau? To daleko, za Breslau i Liegnitz.

Patrzymy na siebie niepewnie, bo nawet nie wiemy, gdzie jest ten Breslau i ta Liegnitz. Oficer namyśla się przez moment, a potem gestem zaprasza nas do wagonu. Widzę po minie mamy, że się boi. Nasłuchaliśmy się ostatnio mnóstwa strasznych opowieści o gwałtach i morderstwach popełnianych przez naszych sojuszników. Dobrze obie pamiętamy naszą podróż w lecie do Poznania, na wesele cioci, kiedy to dosłownie otarliśmy się o śmierć. Ale przez okna dostrzegamy twarze polskich oficerów, a nawet kobiet. Rosjanin patrzy na nas wyczekująco, a na jego ustach pojawia się lekki uśmiech.

- Tam jest moja żona! - wyjaśnia krótko i bierze ciężki kosz, wnosząc go do wagonu. Na jego polecenie, dwaj żołnierze chwytają nasze bagaże i wnoszą do pociągu. Wchodzimy za nimi, odprowadzani zazdrosnymi spojrzeniami i złośliwymi komentarzami podróżnych, którym nie udało się wcisnąć do środka. W tym dniu, obfitującym w brutalne i okrutne sceny, miałyśmy wprost niewiarygodne szczęście, trafiając na porządnego człowieka. W każdym narodzie bywają ludzie dobrzy i źli, ale tak się jakoś złożyło, że my trafiłyśmy, Bogu dzięki, tylko na dobrych Rosjan.

Pół wagonu, luksusowego, bo miał normalne ławki i okna, zajmowali oficerowie radzieccy, jadący do swoich jednostek stacjonujących w Niemczech, a druga połowę polscy wojskowi. W kącie wagonu stał piecyk „koza” na którym można było zagotować wodę na herbatę czy kawę, a

nawet coś upichcić. Nasz nowy opiekun znalazł nam miejsce przy swojej żonie, gdyż druga strona wagonu była już przepełniona. Ponieważ od rana nie jadłyśmy, mama poszła zaparzyć kawę, którą ratowałyśmy się w wyjątkowych chwilach.

Rewanżując się za uprzejmość oficera, mama rozłożyła na tekturowej tacy kanapki z wędliną i owoce, częstując Rosjan prawdziwą kawą. Żona naszego opiekuna była ładną i bardzo sympatyczną kobietą. Natychmiast dołożyła do naszych zapasów puszkę „świnnej tuszonki”, czyli mielonej wieprzowiny i podarowała nam słoiczek pasty bakłażanowej. Była tak znakomita, że do dziś pamiętam jej smak! Miałyśmy wilczy apetyt i byłyśmy wniebowzięte z radości, że jednak mimo wszystko pojedziemy! Siedziałam przy oknie i patrzyłam na miotający się wzdłuż peronu tłum.

Czym w owym czasie była podróż, wiedzą tylko ci, którym zły los kazał ruszyć w drogę. Brak taboru kolejowego, złe połączenia pomiędzy stacjami, zerwana łączność telefoniczna, zniszczone tory i mosty oraz niewypały niosące śmierć, oto najważniejsze przyczyny dla których podróż z miasta do miasta, była niebezpieczną wyprawą. Jechało się całymi tygodniami w prymitywnych warunkach, w zimnie i bez wody. Niebezpieczeństwo podróży zwiększały jeszcze częste napady na pociągi band, powstałych po zakończeniu wojny. Byli to przeważnie dezertery z Armii Czerwonej, a także Niemcy i Polacy. Świetnie uzbrojeni w broń maszynową, zatrzymywali pociągi, rabując i zabijając podróżnych. Czasami wywiązywały się prawdziwe bitwy pomiędzy napastnikami, a podróżnymi broniącymi swego dobytku, nierzadko równie dobrze uzbrojonymi. Wielu ludzi posiadało broń jeszcze z czasów okupacji.

Wybierając się w drogę, należało zaopatrzyć się w wodę i w żywność na czas podróży, oraz liczyć się z obawą, że można nie dojechać żywym do celu. Kolosalne zadanie zasiedlenia tak zwanych Ziemi Odzyskanych natychmiast po wojnie, jak również brutalne wysiedlanie ludności polskiej z kresów wschodnich, spowodowało prawdziwą wędrówkę ludów. Wielu Polaków pozostawiając swoje domy, jechało na Zachód i Północ jako osiedleńcy. Inni wybierali się tam dorywczo, po prostu na szaber. (bardzo modne słówko w owym czasie)

Ze Wschodu jechały całe transporty, wiozące ludność wypędzoną z Buga i znad Niemna. Podróżowali całymi wsiami, wioząc resztę dobytku i oplakując pozostawione w dawnej ojczyźnie domy rodzinne i groby swoich przodków. Nikt tych ludzi nie pytał, czy chcą jechać w tak odległą podróż, dla nich jak na koniec świata. Po prostu rozkazano im wsiąść do pociągu i kwita!

Zbrodniczy pakt Jałtański, zawarty przez Amerykę, Anglię i Rosję, zdecydował o losach milionów ludzkich istnień, wydzierając nam 1/3 terytorium od wieków polskiego, i dając w zamian Dolny Śląsk i Pomorze, które mogły w przyszłości się stać zarzewiem nienawiści i zatargów między Polską, a państwem niemieckim. Ameryka, która do facto, wniosła najmniejszy wkład w czasie II wojny światowej, teraz współdecydowała o losach narodu, walczącego od pierwszego do ostatniego dnia wojny!

Przed zniszczoną Polską stało gigantyczne zadanie zasiedlenia nowych terytoriów. Na Zachód jechali robotnicy, żeby uruchomić nieczynne fabryki. Wybierali się w drogę całymi brygadami, z majstrami i inżynierami. Jechali profesorowie, by wskrzesić szkoły, uniwersytety i nieść oświatę. Byli też ludzie, którzy po powrocie z przymusowej pracy w Niemczech, lub z obozów koncentracyjnych, nie mieli już do czego i do kogo wracać, więc szli piechotą albo jechali na Dolny Śląsk, ażeby tam stworzyć sobie nową egzystencję. Często słyszało się gwara warszawską, to mieszkańcy zrujnowanej stolicy udawali się na Ziemię Odzyskaną, pozostawiając za sobą gruzy milionowego miasta, które na ich oczach umierało.

Spoglądałam z ciekawością na kłębiący się na peronie tłum, podziwiając różnorodność typów i strojów podróżnych. Właśnie pod oknem wagonu przebiega wytworna pani. Ma na sobie modny zakiet z baskinką i monstrualnie wypchane ramiona. Jej wiotka talia i szczupłe biodra, stanowią dysharmonię z potężnymi barami zawodowego zapaśnika – to efekt grubych poduszek poszerzających ramiona. Szyję elegantki otula puszysty lis, a jego długi ogon powiewa w okolicy pośladków damy. Nóżki w pantofelkach na wysokich korkach, chybczą niebezpiecznie na

podziurawionym peronie, grożąc skręceniem kostki. Na tym katowickim peronie istna wieża Babel!

Obok głodomora z obozu koncentracyjnego, stoi młody mężczyzna w battledressie i wysokich oficerkach, rozmawiając z wynędzniałym żołnierzem w wojskowym szynelu i czapce z orzełkiem bez korony. Są tu i Włosi, Anglicy z obozu jenieckiego, a nawet Murzyn w uniformie armii amerykańskiej. Przewraca oczami do przechodzących kobiet, budząc ogólną sensację, niekoniecznie przyjazną.

Jestem już bardzo zmęczona burzliwymi przeżyciami dnia i zaczyna boleć mnie głowa od natłoku wrażeń. Ale ożywiam się natychmiast, kiedy nareszcie pociąg rusza. Budynki stacyjne coraz szybciej uciekają w tył, a przed nami widzę most. Stoi na wysokim nasypie, a pod nim w tunelu dostrzegam zachodzące słońce. Śmieszne, słońce w tunelu! Oby stało się dla nas dobrą wróżbą na przyszłość. Odwracam się od okna, sadowię wygodnie na twardej ławce i szybko zasypiam śniąc, że jesteśmy już w domu.

Mój Boże, jaka ta podróż jest monotonna. Mama i ja jesteśmy tak umęczone, że dopiero za Opołem zaczynam uważniej przypatrywać się mijanym krajobrazom. Mama wygląda na chorą. Cierpi na bóle żołądka i nudności, zapewne na skutek złego odżywienia. Kanapki z kiełbasą, jajka na twardo, mielonka z puszki i herbata. Kawę pozostawiamy na wyjątkowe okoliczności. Już nie pamiętam, jak się je normalny gorący obiad, w jadalni przy stole nakrytym białym obrusem. Mam taką ochotę na jabłko lub gruszkę, lecz nigdzie nie można kupić owoców. Na stacjach kolejowych najczęściej nie ma bufetów, a jeżeli już są, to boimy się wychodzić z wagonu. Nie warto ryzykować wyjścia z pociągu, nie mając gwarancji, że się do niego powróci.

Nudzę się i zaczynam grymasić. Biedna mama z anielską cierpliwością pociesza mnie, że to już niedaleko. Ale sama w to nie wierzy, bo nikt nie wie, gdzie się ten Bunzlau znajduje. Podobno za Liegnitz, lecz konia z rzędem temu, kto nam wyjaśni, jak daleko do tego miasta? Prawdopodobnie te miejscowości mają już polskie nazwy, jednak my ich nie znamy, bo na wszystkich mapach są napisy niemieckie. Przypuszczamy, że to miasto jest gdzieś na granicy Niederschlesien³, pewnie jakaś zapadła dziura, której nigdy nie polubimy.

Do Breslau, czyli Wrocławia, przyjechałyśmy o świcie. Z prawdziwą przykrością zegnałyśmy radzieckiego oficera i jego przemiłą małżonkę, to byli naprawdę dobrzy ludzie, z którymi żyłyśmy się w podróży. Przy pożegnaniu, pani Wiera rozejrzawszy się dyskretnie, przeżegnała nas prawosławnym krzyżem, życząc szczęśliwej podróży. Gdyby nie nasz rosyjski opiekun, nie dojechałybyśmy wcale do Wrocławia, bo w Opolu przyczepił się do nas jakiś pijany polski chorąży i chciał wyrzucić nas z wagonu, żeby na nasze miejsce posadzić swoją lafiryndę, również nietrzeźwą. Zrobiła się straszna awantura i nareszcie, wspólnymi polsko-rosyjskimi siłami, wypchnięto awanturnika z pociągu. Na wrocławskim peronie, kolejarz poinformował nas, że do Liegnitz, czyli do Lignicy, (tak się wtedy miasto nazywało) pociąg odjedzie jeszcze tego dnia i musimy się śpieszyć, żeby dostać się na dworzec Nadodrzański lub Świebodzki, tego już nie pamiętam.

Nad miastem wolno wstawał szary, mglisty dzień i zanosilo się na deszcz. Z ogromnej hali monumentalnego dworca, wychodzimy na ulicę. Przed dworcem jak zwykle tłumy ludzi. Tragarz postawiwszy nasze bagaże na chodniku, wziął zapłatę i poszedł. Rozglądamy się za jakimś środkiem lokomocji, żeby dostać się na ten drugi dworzec. W tym obcym, nieznanym mieście, czujemy się bardzo samotne i bezradne. Wrocław wywarł na nas przygnębiające wrażenie, bo miasto jest straszliwie zniszczone. Jak okiem sięgnąć, morze gruzów. Z tej powodzi ruin sterczy czasami pionowa ściana, lub cudem ocalały dom. Obok nas przystaje kilka samochodów wojskowych, do których błyskawicznie wskakują podróżni. Dla nas oczywiście miejsca nie ma i nawet nie próbujemy się dostać do samochodu, bo jest to zadanie dla silnego, bezwzględnego mężczyzny. Znowu mamy zmartwienie, jak z tymi ciężkimi bagażami dojdziemy do drugiego

3 Niederschlesien – Dolny Śląsk.

dworca. Jeżeli nie zdążymy do pociągu, pozostaniemy w tych ruinach zdane na łaskę losu. To straszliwie zniszczone, trupie miasto, budzi naszą grozę.

Niespodziewanie podchodzi do nas stara Niemka, chuda i wynędzniała. Pokazuje mamie stojący opodal wózek i powiada, że zawiezie nasze walizki gdzie sobie życzymy. Mama patrzy na staruszkę z wahaniem. Kobieta nie wygląda na siłaczkę, a nasze bagaże są bardzo ciężkie. Widząc to, Niemka tłumaczy mamie, że nie jest sama i wnuk jej pomoże. Odwraca się i woła do stojącego w pobliżu chłopca, ubranego w zniszczony, za duży na niego mundur volksturmu. Oboje ładują walizki na wózek i ruszamy. Miasta wcale nie znamy i nie mamy pojęcia, gdzie ten drugi dworzec się znajduje, ale staruszka zapewnia, że to niedaleko. Idziemy w milczeniu istnym wąwozem z gruzów. Górą wiszą nad nami pozrywane druty przewodów elektrycznych trakcji tramwajowych. Co chwilę musimy się zatrzymać, żeby wyminąć resztki barykad. Pod nogami widzimy poskręcane szyny tramwajowe, jakieś rury, płyty z chodników i ogromne kawały asfaltowej nawierzchni jezdni.

Pod ścianami ocalałych domów, poniewierają się resztki dobytku mieszkańców Breslau. Wszędzie widać ślady kul i ognia. Niektóre kamienice mają ogromne dziury po pociskach artyleryjskich. Co jakiś czas, drogę zagrażają nam budynki, zawalone na skutek eksplozji bomby lotniczej. Dom runął, lecz pojedyncza ściana pozostała, strasząc oknami w których, dziwnym trafem, zachowały się ramy i resztki firanek, czasami parapety z nietkniętą doniczką zwiędłej pelargonii. Nieprawdopodobne, lecz jednak prawdziwe. W podmuchach jesiennego wiatru, jakieś szmaty powiewają, niczym białe flagi wieszczące poddanie i śmierć zagrzebanych pod gruzami mieszkańców tej kamienicy. Ocalałe resztki schodów wspinają się w próżnię, wiodąc donikąd, a przekrzywione obrazki na ścianach nie istniejących pokoi, sprawiają makabryczne wrażenie. W parkach i na skwerach stoją drzewa połamane i pocięte odłamkami, wznosząc ku niebu, z niemą skargą, kikuty nagich gałęzi. Wielkie leje po bombach i pociskach artyleryjskich pełne są wody deszczowej. Nad tym ponurym obrazem zniszczenia, unosi się trupi zaduch, gdyż pod gruzami zawalonych domów rozkładają się ciała zasypanych. Dokoła pełno mogił, czasem z krzyżem i krzywą tabliczką, a najczęściej bezimiennych.

Patrzemy na ten księżycowy krajobraz z przerażeniem, ale nie potrafimy zdobyć się na odruch współczucia. Mama i ja ciągle mamy przed oczami obraz strasznie zniszczonego Poznania, naszej zbombardowanej kamienicy i okropnych ruin poznańskiej Cytadeli, gdzie moi rodzice byli tacy szczęśliwi przez kilka lat po ślubie. Pamiętam, że gdy poszliśmy tam w sierpniu 1945 roku, mama z szarą jak popiół twarzą, usiadła ciężko na kamiennym złomie, patrząc z rozpaczą na zwisający z czarnej od ognia ściany, drut anteny radiowej. Tyle pozostało z naszego przeszlicznego mieszkania, pełnego pamiątek rodzinnych, kilimów huculskich i nowych mebli swarzędzkich. W aparacie filmowym, pozostawionym przez ojca, znajdował się unikalny film dokumentalny z Powstania Poznańskiego. W naszym mieszkaniu przebywałam zaledwie dwa dni po moim urodzeniu 21 sierpnia 1939 roku. To był koniec naszego rodzinnego szczęścia. Nie potrafimy zdobyć się na współczucie mieszkańcom Breslau! Idąc po gruzach, potykam się o resztki zasieków i rozdieram pończochę o drut kolczasty. Ostre kolce kaleczą mi łydkę. Syczę z bólu i poślinionym palcem ścieram płynącą z ranki krew.

Festung Breslau! Nie, nie podoba mi się wcale to miasto i mam cichą nadzieję, że Bunszlau nie jest podobny do tej pustyni gruzów. Niemcy w posępnym milczeniu ciągną wózek, my również się nie odzywamy, bo w końcu o czym tu można mówić? Jestem dzieckiem i niewiele rozumiem, lecz mimo woli nasuwają mi się porównania tych tutaj Niemców, wynędzniałych i pokornych, z wyrazem apatycznej bezsily, z zapamiętanymi doskonale obrazami z czasów okupacji; butnych kohort, w znieawidzonych mundurach koloru feldgrau, maszerujących z grzmotem podkutych butów i beztroskim śpiewem przez ulice naszych miast. Pamiętam pogardliwe, okrutne spojrzenia cywilnych Niemców i plujące na Polaków dzieci niemieckie. Należeli przecież do „rasy panów”, a my, Polacy, byliśmy jedynie „podludźmi” skazanymi na wytopienie!

Natychmiast po wkroczeniu Niemców do Poznania w 1939 roku, brat mego dziadka, stryj mamy, oficer Wojska Polskiego, został wraz z żoną rozstrzelany we własnym ogrodzie. Przedtem

musieli tam wykopać sobie grób. W tym miejscu Niemcy urządzili ogródek dla swoich pociech, z huśtawką i krasnalkami! Po klęsce hitlerowskich Niemiec, duma „rasy panów” gdzieś się zapodziała. Co jakiś czas podchodzą do nas ludzie, mężczyźni, kobiety, czasami dzieci i o coś proszą. O kawałek chleba, o papierosy, o pieniądze. Niekiedy ci mężczyźni są zupełnie młodzi, lub na odmianę całkiem sędziwi. W każdej innej sytuacji widok tych ludzi wzbudziłby w nas gorące współczucie i chęć pomocy, ale czy oni na litość zasługują? Jeszcze nie! Przez wiele lat gorliwie pracowali na swój los. Patrzę na sędziwą Niemkę ciągnącą z wysiłkiem wózek i robi mi się miękko na sercu, bo wyobraziłam sobie, że to moja babcia, tak ciężko doświadczona losem. Mama znając moją skłonność do litowania się nad każdym biedakiem, mocno ściska mi rękę. Ten jej gest, momentalnie przywołuje w mojej pamięci potworny obraz.

Ukryte w chłopskiej „wygódce”, patrzyliśmy na rzędy SS-manów uzbrojonych po zęby, trzymających na smyczy skowyczące wilczury. Słyszałyśmy terkot karabinów maszynowych i krzyki. Spędziłyśmy tam wiele godzin, bo teren masowej egzekucji długo był pilnowany, gdyż czasem miękka ziemia się ruszała. Mama cały czas ściskała mi rękę aż do bólu, żebym Boże broń, nie krzyknęła, bo wówczas żadna siła nie uchroniła by nas od śmierci. Nie krzyknęłam, bo zemlałam i przez kilka dni leżałam w gorączce, bardzo chora, dręczona koszmarami.

Prawie wszyscy młodzi Niemcy mają wspólną cechę, oto każdemu z nich czegoś brakuje. Ręki, nogi, oka, palców. Na twarzach widoczne są blizny i szramy po ranach. Może byli w Polsce? Na szczęście nie mamy czasu na rozmyślanie o przeszłości, bo już widać z dala dworzec kolejowy. Mama wręcza Niemce pieniądze, ale staruszka potrząsa odmownie głową i śmiesznie łamanym językiem, prosi po polsku o chleb. Mama jest poznanianką i perfekt zna język niemiecki, lecz celowo z tym się nie zdradza. Po namyśle sięga do torby i podaje Niemce ćwiartkę chleba i słoiczek smalcu. Staruszka ma w oczach łzy.

- Danke sehr, danke! - powtarza kilkakrotnie, chwytając mamę za rękę i mocno nią potrząsając. Potem, jakby domyślając się, że mama ją rozumie opowiada, że dwóch synów straciła w Afrika Korps i pod Kurskiem, męża w bitwie o Breslau, a w domu ma chorą córkę. Oprócz niej, z rodziny pozostał jej tylko ten wnuk. Widzę, że chłopak ma na czole bliznę przykrytą włosami. Widocznie także zabawiał się w wojenkę za Fuehrera i Vaterland. Jest mimo wychudzenia bardzo ładny. Ma jasne włosy, błękitne oczy, zimne jak lód i stanowi wymarzony typ germańskiej „blond bestii”. Po jego minie wydaje mi się, że wojna niczego go nie nauczyła. Na polecenie babki chwyta kosz, staruszka dźwiga walizkę i neseser. Nie proszeni niosą bagaże aż na peron. Wobec tego, mama dokłada jeszcze puszkę wieprzowiny i kostkę sprasowanej herbaty. Niemka uniżenie dziękuje i naraz zaciskając pięści szepcze:

- Przeklęty Adolf! Oto do czego doprowadził naród niemiecki!

Mama uśmiecha się z ironią. De facto tych Niemców nie wzruszają potworne, nieopisane cierpienia milionów ludzi. Nie czują się współwinni. Przeklinają swego ubóstwianego wodza, bo miał nieszczęście przegrać wojnę i sprawił wszystkim wielki zawód. Biedny niemiecki naród, tak podle oszukany przez Fuehrera! Ojciec, będąc jeńcem wojennym oflagu w Norymberdze, często wspominał o szaleńczym entuzjazmie Niemców, obrzucających kwiatami mknące pociągi pełne jasnowłosych herosów w mundurach feldgrau, jadących na podbój świata. Kobiety omdlewały z zachwytu i dumy. Oszalałe z miłości tłumy, wyciągały w górę prawice i wrzeszczały aż do utraty tchu:

- Heil Sieg! Heil Fuehrer!

Teraz przeklinają wodza w żywy kamień i wszyscy zapierają się związków z faszyzmem. No dobrze, jeżeli większość Niemców była nastawiona pokojowo, to skąd się brało tylu fanatycznych hitlerowców? Po klęsce Polski w 1939 roku, kobiety niemieckie pluły na prowadzonych pod eskortą jeńców polskich i wylewały na nich nocniki. Ojciec miał nieszczęście być w niewoli rosyjskiej, dokąd dostał się po 17 września pod Stanisławowem, a potem w niemieckiej, na podstawie wymiany jeńców przez Rosję i Niemcy. Zawsze podkreślał, że w obozie rosyjskim, daleko aż pod Uralem, cierpiał głód i chłód, lecz nikt nigdy mu nie ubliżył i nie uderzył,

a ludność rosyjska okazywała jeńcom serce i dzieliła się z nimi chlebem, którego sama miała niewiele. Te dywagacje na temat, nasunęły mi się dużo później, kiedy miałam możliwość, z perspektywy czasu, już bez emocji oceniać ówczesną sytuację.

Chodząc po peronie, widzimy jakiś pociąg. Mama podbiega do kolejarza i pyta gorączkowo, czy ten transport jedzie w kierunku Liegnitz? Niestety, bardzo rozczarowane dowiadujemy się, że naszego pociągu nie ma. Zostanie podstawiony jutro, a może za kilka dni, jeśli coś nie nawali.

- O Boże, to gdzie my się podziejemy! Mamy czekać tu, na dworcu? - woła mama bliska płaczu.

Może przecież zaistnieć sto przeszkód, które spowodują następną zmianę rozkładu jazdy. Ponownie wychodzimy przed budynek dworca, wlokąc z trudem za sobą bagaże. Od tego dźwigania mam poobrywane ramiona, ale nie pozwalam, żeby mama sama taszczyła większość naszych rzeczy, lub słono płaciła tragarzom. Jest bardzo błada i najwidoczniej źle się czuje. Siadamy na jakimś murku i apatycznie obserwujemy ulicę. W mieście rozpoczyna się poranny ruch. Ludzie śpieszą do pracy, gdzieś z daleka huczy fabryczna syrena. Nagle widzimy nadjeżdżający tramwaj, poobijany, brudny, ale jedzie i wesoło dzwoni. W pobliżu przystanął jakiś człowiek niosący drabinę. Przystawił ją do muru i młotkiem odbija hitlerowską swastykę.

Obok, w budynku podziurawionym jak rzeszoto kulami, otwiera się na piętrze balkon. Staje na nim kobieta, z włosami nakręconymi na papiloty i energicznie trzepie pościel. Potem, nie bacząc na chłód, zabiera się do mycia szyb. Obok niej widzę małą dziewczynkę. Trzymając lalkę, zajada kromkę chleba. Te prozaiczne, codzienne czynności, budzą we mnie ogromną tęsknotę za rodzinnym domem, gdzie rano po śniadaniu, bawiłabym się lalkami. Ale jeszcze nie wiem, gdzie będzie ten mój nowy dom. Nie mam żadnych zabawek i jestem taką „starą maleńką”, nad wiek doświadczoną latami okupacji. Jednak mogę marzyć i zasypuję mamę pytaniami, jak to będzie w tym Bunzlau? Mama odpowiada mi krótko i rzeczowo, starając się ściągnąć mnie z obłoków na ziemię.

Ranek jest bardzo chłodny i decydujemy się wrócić do hali dworca. Rozglądamy się bezradnie, szukając wolnego kącika. Wydaje się, że cała posadzka zajęta jest przez koczujących podróżnych. Niektórzy drzemią niespokojnym nerwowym snem, otwierając co chwile oczy i rozglądając się nieprzytomnym wzrokiem. Na kamiennej posadzce leżą rozłożone gazety, stare szmaty, koce, a na tych śmieciach śpią umęczeni ludzie. Niektórzy mężczyźni usadowieni w kucki, grają w karty, klnąc i kłócąc się zajadle. Inni dyskutują o polityce, lub się posilają, rozkładając jedzenie na walizce. Pod nogami dorosłych, bawią się dzieci, urządziwszy kryjówki między tobołkami. Kilku mężczyzn w nasuniętych na oczy czapkach, podaje sobie z rąk do rąk butelkę z bimbrem, przegryzając każdy łyk kawałkiem czerstwego chleba. Oj, mają już dobrze w czubie, bo kiedy przechodzimy, właśnie intonują sznaps barytonami, przerywanymi pijacką czkawką:

- Co użyjem, to dla nas, bo za sto lat nie będzie nas!

Lepiej trzymać się z daleka od tego towarzystwa. O wypadek teraz nie trudno, bo wielu pasażerów nosi przy sobie broń palną albo nóż. Naraz podchodzi do nas niechlujnie wyglądająca baba i uśmiechając się obleśnie pyta:

- Chce pani może tani nocleg?

Stara nie budzi naszego zaufania, bo kiedy pochyła się nade mną, żeby mnie pogłaskać po głowie, wyraźnie czuję odór alkoholu. Uchylam się z odrazą unikając pieszczoty. Mama stanowczo odmawia. Na takim przygodnym noclegu mogłybyśmy się obudzić u świętego Piotra w rajcu. Nasze eleganckie walizki z pewnością byłyby łakomym kąskiem dla złodzieja. Babsko nie zrażone naszą odmową, zwraca się z tą samą propozycją do innych podróżnych, a my trafiamy do drzwi z krzywym napisem: „Tylko dla matek z dziećmi”. Ponieważ ja jestem dzieckiem, a mama matką, więc wchodzimy z nadzieją, że w tym miejscu spokojnie i bezpiecznie przenocujemy w cieple.

Już od progu uderza nas w nos ohydny smród i zaduch. Brudne pieluchy wiszą na sznurku nad piecykiem. Pomimo dnia, pod sufitem pali się słaba, popstrzona przez muchy żarówka. Wysoko umieszczone okienka nie przepuszczają wiele światła przez brudne szyby. Pod ścianami, na

drewnianych pryczach leżą porozbierane „do rosołu” kobiety z dziećmi. Odrażający zaduch sprawia, że cofam się od progu. Jednak mama postanawia tu pozostać i siłą wciąga mnie do wnętrza. Podchodzi do nas pani w ongiś białym fartuchu i każe mamie pokazać bilety. Potem wskazuje nam dół piętrowej pryczy, gdzie możemy się przespać. Mama prędko rozkłada koce i poduszkę, polecając mi zdjąć buciki. Kładę się bardzo niechętnie, bo wcale nie chce mi się spać, jestem tylko bardzo zmęczona. W kącie stoi piecyk-koza, a na nim wielki kocioł z gorącym mlekiem. Do kotła ustawiła się długa kolejka. Mama wyciąga z kosza garnuszek i wsypuje do niego trochę kawy przechowywanej na czarna godzinę. Wolno sączę wonny napój z mlekiem, delektując się smakiem i uśmiecham się do mamy. Biedaczka, trzyma się tylko nerwami i resztką sił. W tych warunkach jeść nie możemy, zresztą nie jesteśmy głodne i to jest zły omen, świadczący o naszym skrajnym wyczerpaniu. Smród w tym pomieszczeniu jest obrzydliwy i zbiera mi się na mdłości. Mam także zawroty głowy i boli mnie brzuch. Jestem rozdrażniona wrzaskami niemowląt i ordynarnymi kłótniami kobiet. Przytulam się do mamy i próbuję zasnąć. Godziny płyną tak wolno, że czas zdaje się stać w miejscu.

Powoli zapada noc. Ponurą salkę zalegają mroczne cienie, a żarówka pod sufitem zaledwie się żarzy. Po katach, jak zjawy, bieleją rozwieszona na sznurkach pieluchy. Prycza jest piętrowa i nad nami leży kobieta z niemowlęciem. W pokoju jest bardzo gorąco i sąsiadka z góry wyjmując dziecko z becika, kładąc je na materacu. Po chwili czuję, że coś kapie mi koło twarzy i moczy poduszkę. Zrywam się ze wstrętem i skarżę się mamie. Okazuje się, że maluch siusia mi na głowę. Poduszka jest mokra i nie mam na czym położyć głowy. Mama prosi grzecznie kobietę, żeby zechciała zabezpieczyć niemowlę, a ona na tę uprzejmą uwagę reaguje chamskim wrzaskiem. Mama macha ręką na znak, że nie warto wdawać się w pyskówkę. Zamiast poduszki podkłada mi pod głowę zrolowany koc. Układamy się od nowa, próbując zasnąć. Właśnie zapadam w błogi sen, kiedy niemowlę nad naszymi głowami zaczyna się drzeć jak opętane. Jego wrzask natychmiast podejmuje troje innych dzieciaków i koncert trwa nieprzerwanie. Zrywam się ponownie i mam ochotę zawtórować szczeniakom na całe gardło! Matki ryczących pociech, każda na inną nutę, zaczynają nucić kołysanki. Daje to niezamierzony efekt, bo hałas się wzmacnia, budzą się coraz to inne dzieci i już nikt nie jest w stanie zmrużyć oka. Matki schodzą z pryczy, grzeją mleko i rozpoczynają kłótnię. Na domiar złego, kobieta z górnej pryczy rozkłada zabrudzone pieluchy, a ich smród wywołuje u mnie torsje. Mama ociera mi twarz zmoczonym ręcznikiem i podaje zimną kawę do popicia. Zdenerwowana wrzaskiem niemowląt i wymiotami, oświadczam mamie, że dłużej w tym miejscu nie zostanę i koniec! Po namyśle, mama przyznaje mi rację, może lepiej nam będzie w hali dworca. Zbieramy bagaże i wynosimy się stamtąd.

W pobliżu znajdujemy wolny kącik. Zajmujemy go i ponownie rozkładamy na posadzce gazety, koce itd. Chociaż jest już druga nad ranem, o spaniu nie ma mowy. Dworzec przypomina ul przed wyrojem pszczół. Coraz to nowi podróżni śpieszą do podstawianych pociągów. Ktoś komuś depcze po nogach, ktoś inny krzyczy, że został okradziony. Psychicznie chory człowiek zaczyna przeraźliwie wyć, kołysząc się jednostajnym ruchem w przód i w tył. Polskich wojskowych prawie nie widać, za to po hali zaczynają się kręcić pijani żołnierze radzieccy, z pepeszami przewieszonymi przez ramię.

Utrwalił mi się w pamięci dzień 3 sierpnia 1944 roku, kiedy do miasta wkraczały wojska radzieckie. Stojący na ulicach ludzie, w ponurym milczeniu przypatrywali się olbrzymim czołgom, tak potężnym, że osławione niemieckie Tygrysy wydawały się przy nich miniaturkami. Czołgi oblepione piechotą, uczeponą ich pancerzy, mieląc gąsienicami i rycząc silnikami jechały ulicami. Za nimi ukazały się wielkie samochody ciągnące działa i kolumny piechoty, brudnej, zmęczonej, prosto z linii frontu. Chociaż zawdzięczaliśmy im pozbycie się Niemców, nie słychać było okrzyków radości i nikt nie obrzucał żołnierzy kwiatami. Przed nimi szła złowroga fama, że żołdaci radzieccy gwałcą kobiety, kradną i mordują AK-owców.

Było w tym sporo prawdy, ale również dużo przesady. Przyzwyczajeni do widoku czystych i wymuskanych Niemców, patrzyliśmy w osłupieniu na brudnych, brzydko umundurowanych

Rosjan. A już ich kobiety ze służb pomocniczych, budziły śmiech. Miały na sobie jakieś okropne uniformy, a na nogach pończochy z bandaża. Nie była to ich wina. Większość z tych dziewcząt była naprawdę bardzo ładna i zgrabna.

- Kiedy oni już tu weszli, żadna siła ich stąd nie wyrzuci. - powiedział ojciec półgłosem.

Natychmiast go zakrzyczano. Nawet dziadek i ciocie twierdzili, że w gruncie rzeczy, powinniśmy im być wdzięczni, bo przecież spuścili Szwabom lanie i to solidne. Ojciec nie próbował ich przekonywać, tylko pokiwał głową.

Widok pijanych żołdaków w hali dworca przejmuję nas lękiem. Są uzbrojeni i niebezpieczni, bo lubią używać broni jako argumentu nie do odrzucenia. Ale nie tylko ich należy się obawiać, bo dokoła pełno rodzimej szumowiny. Morderców wypuszczonych z więzień, zbrojców i złodziei, gotowych okraść i zabić rodzoną matkę. Mamy przy sobie pieniądze, pochodzące ze sprzedaży naszych rzeczy. Mama ubrana jest w elegancki płaszcz z lisem, a na palcu nosi złoty pierścionek zaręczynowy z rubinem i brylantem. Na wszelki wypadek przekręca go kamieniami w dół, tak, iż widać tylko obrączkę i nie zdejmuje z dłoni rękawiczki.

Naszą uwagę zwraca kilku młodych mężczyzn, siedzących na kupie gruzów. Mają na sobie podniszczone ubrania, jakby szyte na kogoś innego i zachowują się podejrzanie. Pochyleni ku sobie, szepczą coś, starając się być jak najmniej widoczni. Jednakże tą właśnie, szczególną ostrożnością, ściągają na siebie spojrzenia podróżnych. Nagle, jak spod ziemi wyrasta przed nimi młodziutki milicjant, z białą-czerwoną opaską na ramieniu i karabinem przewieszonym przez plecy. Chłopak ma chyba z siedemnaście lat i z powagą poleca mężczyznom okazać dokumenty. Zagadnięci, okazują gestami, że nie rozumieją o co mu chodzi. To Niemcy. Milicjant nie zna języka niemieckiego, więc nieco stropiony, zwraca się do jakiegoś starszego pana i prosi go o pomoc. Przez tłumacza pyta Niemców, na jaki pociąg czekają i ponownie żąda okazania dokumentów? Niemcy pogardliwie odwracają się do niego plecami i udają, że go nie słyszą. Dokumentów także nie zamierzają pokazać, bo ich pewnie nie mają. Są przekonani, że chłopak się zniechęci i zostawi ich w spokoju. Pomylili się jednak. Po chwili wahania, milicjant ujmując pod pachę siedzącego z brzegu Niemca, i stara się podnieść go z posadzki. Tamten to potężne chłopisko, przy drobnym, chudym chłopcu wygląda jak Goliat. Jednym silnym ruchem wrywa się z jego rąk. Ale milicjant nie daje za wygraną i ponownie chwyta Niemca za ramię. Mężczyzna odwraca się raptownie i wali Polaka pięścią w twarz, wykrzykując pogardliwie:

- Du verfluchte Hund⁴!

Podróżni, oburzeni tym znanym nam dobrze słówkiem, otaczają Niemców ciasnym kręgiem. Tylko patrzeć, a dojdzie do samosądu. Ale Niemcy wcale nie zamierzają dobrowolnie opuścić dworca. Zachowują się agresywnie i wprost prowokują swym zachowaniem do groźnej awantury. Kilku silnych mężczyzn przychodzi milicjantowi w sukurs. Razem usiłują wyrzucić Niemców z hali dworca. Zaczyna się kotłowanie i przepychanki, okraszone wrzaskiem obu walczących stron. W zamieszaniu, jeden z Niemców chwycił leżącą butelkę po piwie i z rozmachem dzielił nią milicjanta po głowie. Chłopiec zalany krwią runął na posadzkę.

Z krzykiem przerażenia ukryłam twarz na kolanach mamy. Wszystkie wypadki toczyły się z błyskawiczną szybkością. Nie zdążyłam jeszcze przyjść do siebie po przeżytym szoku, kiedy z głębi hali przybiegło kilku milicjantów, zaalarmowanych przez podróżnych. Koło mamy i mnie, utworzył się mur z ludzi i nic więcej nie zdołałyśmy zobaczyć. Raptem huknęły dwa strzały, tłum rozprysnął się na boki, ktoś krzyknął ostrzegawczo:

- Uwaga, kryć się, Szkopy mają broń!

Posłyszałyśmy tupot biegnących nóg i pojedyncze strzały z pistoletu. Kule gwizdnęły niepokojąco blisko nas, odłupując tynk ze ściany. Uciekający Niemcy wypadli z hali dworca, z oddali rozległ się terkot serii z pepeszy i wszystko ucichło. Ludzie przyzwyczajeni przez okres wojny do strzelaniny, usiedli z powrotem na swoich miejscach, pomstując głośno i odgrażając się

4 Du verfluchte Hund! - Ty przeklęty psie!

Niemcom. Ciało zabitego milicjanta wyniesiono z hali. Z jego głowy kapą krew i znaczyła ślad na brudnej kamiennej posadzce. Był taki młody, może w domu czekała na niego matka? Do służby w milicji wstąpił z pewnością nie dla ideologii, ale dla chleba. To była praca, chociaż mało płatna i bardzo niebezpieczna. Do dziś mam wiele szacunku dla tych pierwszych polskich milicjantów, zmagających się z ogromem zła, jakie wylęgło się w czasach wojny i terroru. Wielu z nich leży na bolesławieckim cmentarzu, trafionych niemiecką albo bandycką kulą.

Noc minęła bez dalszych awantur, bo do rana krążyły po hali patrole, płosząc niebieskie ptaszki. Odetchnęliśmy z ulgą, gdy nareszcie zaświtał pogodny, jesienny dzień. Świeciło słońce, więc zdecydowałyśmy się wyjść z hali na świeże powietrze. Przy pomocy życzliwych podróżnych, nasze bagaże znalazły się na peronie. Odetchnęłam pełną piersią, nadstawiając twarz ku blademu i przymglonemu jesiennemu słońcu. Na torach mnóstwo pociągów, a na peronach tłumy podróżnych. Wybrałyśmy sobie kawałek wolnego miejsca i usiadłyśmy na walizkach. Na torze stoi ogromny eszelon złożony z wagonów towarowych, załadowanych ludźmi, bydlęmi i sprzętem gospodarczym. Z otwartych drzwi wagonu wygląda krowa, którą właśnie do tej wieśniaczki. Mleko miarowo strzyka do wiadra, a krowa ogania się ogonem przed natrętnymi muchami. Gospodyni siedząc na trójnożnym stołku, niczym starożytna Pytia, co chwilę zwraca krowie grzeczną uwagę:

- Nastąp się, Białka! A żeby cię wilki zeżarły, bydlę jedno. Nic, ino by żarła, a mlika daje jak z łaski. Aaa?

Na ten zarzut pełen goryczy, krowa nie reaguje, za to z drugiego okna wagonu, koń wystawia łeb i rozgląda się dokoła wystraszoną wzrokiem. Sędziwy chłop wyciera mu boki wiechciem słomy, a potem karmi go z ręki owsem i klepie po szyi. W głębi wagonu dostrzegam łóżka przykryte kraciastą pościelą, stoły, krzesła, piec – kozę, a na nim garnki. Nie brakuje nawet pobożnych obrazków na ścianach. Mój Boże, cała wieś na kółkach!

Mama tłumaczy mi, że są to Polacy z Litwy i zza Buga, wypędzeni z ojcowizny przez Sowieców. Zmuszeni są szukać na tych ziemiach nowego domu. Ludzie ci, mówią takim miłym śpiewnym akcentem, jakim przemawiał do mnie ojciec chrzestny, rodowity lwowianin. Z pobliskiego wagonu wysiadła staruszka i przechadza się po peronie, odmawiając szeptem różaniec. Skończywszy poranny pacierz, podchodzi do nas i pyta:

- Oj, paniuńciu, proszu ja was, a daleko jeszcze do tego Żagania? Jedziemy już miesiąc, a dojechać nie możemy. To daleko?

Mama niestety także nie wie, gdzie jest ten Żagań.

- Bożesz ty, mój kochany! - wzdycha strapiona babcia. - Wiozą nas na taki kraj świata, o którym nawet nikt z nas nie słyszał. My spod Buczacza, paniuńciu, jedziemy. Bydlątka nam się marnują, a i człowiek nie nawykły. Ja pierwszy raz w życiu koleją jadę. Ot, na stare lata tułaczka. A paniuńcia to skąd?

- Z Rzeszowa.

- Ot, sławne miasto. Mój syn w PZL-ocie przed wojną pracował. A paniuńcia daleko jedzie?

- Do Bunzlau. Też nie wiemy, gdzie to miasto się znajduje.

- O Matko Boska Berdyczowska! - uzaliła się staruszka. - Tak sama jedzie, z panienką? Bledzińskie takie, widać droga zmarnowała. A z naszej wsi nawet połowa nie została. Co Sowieci nie wywieźli na wschód, to UPA wymordowało. Tak się patrzę na te ziemie, nawet bogate, gospodarstwa ładne. Ale to nie nasze. Tam góry, jary, kurhany, groby naszych ojców. Zostawiliśmy wszystko na przepadłe i poszliśmy tułać się po szwabskich ziemiach! - babcia chlipnęła żałośnie i wytarła oczy skrajem fartucha.

- Może nie będzie tak źle. - mama starała się ją pocieszyć, zresztą bez przekonania. - Podobno macie dostać duże gospodarstwa.

Babcia skrzywiła się z pogardą.

- My nie żebraki, co nam po szwabskiej ziemi? Siedzieliśmy na swojej od trzystu lat, a może i więcej. Co tam polskiej krwi wsiąkało w ziemię przez wieki, to tylko jeden Pan Bóg wie. Niby ładne te miasta, ale gdzie im do naszego Buczacza, do Lwowa, Stanisławowa, gdzie im do

Kołomyi, Żółkwi, Truskawca, Kamieńca.... Jakie tam zamki, jakie pałace i dwory były! Polskich królów, panów, szlachty. Spalone, zniszczone, zmarnowane. A ziemia jaka! Czysty czarnoziem, że i na świecie takiego nie znajdzie.... A może panienka napiłaby się świeżego mleka? - zagadnęła mnie babcia, zmieniając raptownie temat.

Na samą myśl o mleku, aż się oblizałam. Babcia uśmiechnęła się i prędko podreptała do wagonu. Po chwili wróciła z dwoma garnuszkami pełnymi białego, słodkiego mleka. Och, cóż za rozkosz, po tylu dniach jedzenia suchego, czerstwego prowiantu, napić się świeżego mleka! Mama sięgnęła do torebki po pieniądze, lecz babcia stanowczo odmówiła przyjęcia zapłaty.

- Niech wam pójdzie na zdrowie. Może jest jeszcze kiedyś spotkamy? - rzekła na pożegnanie.

Ten dzień zaczął się dla nas bardzo szczęśliwie. Nasz pociąg podstawiono po południu, a w otwartych drzwiach pierwszego wagonu, stał nasz rosyjski opiekun z Katowic. Dostrzegł nas i z daleka zaczął do nas machać ręką. Dzięki jego wyjątkowej uprzejmości, miałyśmy znowu względnie wygodne miejsca i bezpieczną podróż. Ponownie przeżyliśmy szturm na pociąg, ale nie będę się powtarzać i opisywać tego koszmaru.

Raz tylko naprawdę przeraziłam się okropnie. Pociąg ruszył i jechaliśmy już chyba godzinę. Na moment wychyliłam się z okna, żeby spojrzeć na mijaną właśnie rzekę. Zerknęłam w dół i zdrętwiałam ze strachu. Pod nami ziała przepaść, a pociąg dosłownie wisiał na szynach, położonych na belkach. Odniosłam wrażenie, że jedziemy przez most dosłownie na paluszkach, bo lokomotywa posuwała się metr po metrze, jak linoskoczek po linie. Zakręciło mi się w głowie i szybko usiadłam święcie przekonana, że za chwilę rozlegnie się okropny trzask, zgrzyt i wszyscy polecimy w przepaść, ginąc w nurtach rzeki. Na szczęście obyło się bez wypadku, lecz most od tamtej pory, nazywam „mostem na zapalkach”, i chociaż teraz jest odbudowany i mocny, ilekroć tamtędy przejeżdżam, ogarnia mnie lęk.

W Liegnitz, a raczej już Lignicy, mieliśmy znowu dłuższy postój, bo nasz transport miał ruszyć w drogę dopiero na drugi dzień. Ale skład pozostawał ten sam, więc nie musiałyśmy rozstawać się z życzliwymi nam ludźmi. Mama postanowiła wybrać się do lignickiego RKU, żeby zatelefonować do ojca i powiadomić go, że dojechaliśmy aż do Lignicy i będziemy go oczekiwać na dworcu w tym Bunzlau. Miałam słodką nadzieję, że ojciec skombinuje jakieś auto i sam po nas przyjedzie, bo podobno Bunzlau dzieli od Lignicy tylko 50 km. Prawie jesteśmy w domu, hurra!

Przeszło dwie godziny czekałyśmy na połączenie z RKU w Bunzlau. Mama była niemal przeźroczysta i uskarżała się na bóle żołądka. Na samą myśl, że może się rozchorować, ogarniał mnie obłędny strach! W końcu otrzymałyśmy połączenie, lecz zaraz spotkał nas przykry zawód, bo zamiast głosu ojca, usłyszałyśmy w słuchawce obcy baryton, który nas poinformował, że ojciec wyjechał z komisją poborową w teren i powróci nie wcześniej, niż za miesiąc. Biedna mama aż przysiadła z wrażenia. Ale pod koniec rozmowy zgłosił się znajomy oficer z Rzeszowa i zapewnił nas, że mieszkanie jest przygotowane, a na stacji oczekiwać nas będą znajomi. Cóż, dobre i to! Lignica nam się zdecydowanie nie podobała. Brudna i ponura, pełna wojska radzieckiego, ale bez porównania mniej zniszczona od Wrocławia.

Wróciłyśmy na dworzec, gdzie mama dowiedziała się od pasażerki, że w bufecie można kupić gorący obiad. Wprost nie do wiary! Mama pozostawiła mnie pod opieką pani Wiery i poszła przekonać się, czy to prawda. Siedziałam w wagonie z duszą na ramieniu, wyobrażając sobie, że każdej chwili pociąg ruszy, a mama pozostanie. Postanowiłam w takim wypadku, wyskoczyć z wagonu pozostawiając nasze bagaże. Moja wybujała wyobraźnia jak zwykle płata mi figle, podsuwając na myśl coraz straszniejsze obrazy. (zazdroszczę ludziom nie posiadającym wyobraźni, są o niebo szczęśliwsi!)

Oczywiście wszystko dobrze się skończyło, a mama wróciła cała i zdrowa, niosąc na talerzu kotlet mielony z ziemniaczkami i marchewką. W termosie pachniała świeżo zaparzona kawa. Rzuciłam się na te delikacje i zmiotłam wszystko, do ostatniej kruszynki. Jedynie dobre wychowanie powstrzymało mnie od wylizania talerza! Boże, gorący obiad, jakże mi smakował! Prócz krótkiej

przerwy w Katowicach, podróżowałyśmy już przeszło dziesięć dni. Mama swój obiad zjadła w restauracji, była ożywiona i uśmiechnięta. Nie mogłyśmy wprost uwierzyć, że od celu podróży dzieli nas jedynie 50 kilometrów.

Lignica pozostała za nami i powoli zbliżamy się do Bunzlau. O, już najwyższy czas, bo obie jesteśmy w oplakanym stanie i u kresu sił. Te nędzne pięćdziesiąt kilometrów jechałyśmy do bólu! Znużona i chora, apatycznie przyglądam się mijanym widokom. Po obu stronach toru ciągną się pola nie tknięte pługiem. Wszędzie pustka i głucha cisza budząca niepokój, kiedy znowu się zatrzymujemy, bo coś w lokomotywie nawaliło. Jak okiem sięgnąć, ogromna równina tchnie martwością. Mijamy wsie z białymi, murowanymi domami, zbudowanymi w tak zwanym pruskim stylu, z czarnym belkowaniem na ścianach. W oknach widać firanki i doniczki ze zwiędłymi kwiatami, lecz nie ma ludzi. Niemcy uciekli. Także drogi są inne niż w Małopolsce, gładkie szosy obsadzone włoskimi topolami, wiją się jak wstęgi po sam horyzont. Och, jakże tęsknię do małopolskich wsi, chat krytych słomianą strzechą i polnych dróg z rosochaty, mi wierzbnymi. Czasami mijamy las lub zagajnik z połamanymi drzewami, bo tu toczyły się ciężkie boje. Dowodem na to są stojące w szczerym polu, rozbite lub spalone czołgi, zestrzelony samolot z połamanymi skrzydłami, na których widnieje budzący strach czarny krzyż, tak często widywany na polskim niebie. Pola poprzecinane są zygzakami rowów strzeleckich, a przy torach, jak złowrogie grzyby, stoją betonowe bunkry otoczone zasiekami z drutu kolczastego. Na ziemi pełno ogromnych dziur po wybuchach bomb i pocisków artyleryjskich. Dokoła mnóstwo mogił z hełmami zatkniętymi na patyku czy krzyżu. Jedne mają znak swastyki, inne białego orła. Tylko Rosjanie nie mają krzyża, lecz coś w rodzaju ula, a hełm leży na mogile.

To wszystko przypomina nam, że od zakończenia najbardziej krwawej wojny w dziejach ludzkości, minęło zaledwie pięć miesięcy. Są i takie miejsca, gdzie kopczyki mogił ciągną się jak okiem sięgnąć, tworząc ogromne cmentarze żołnierskie. Śpią na nich snem wiekuistym Niemcy, Polacy i Rosjanie, zrównani w śmierci i nareszcie pogodzeni. Bywa, że gdy pociąg zwalnia na nasypie kolejowym, dostrzegam ze zgrozą zagrzebane w pożółkłej trawie ludzkie szkielety, czekające cierpliwie na pochówek. Przykry to widok i nad wyraz ponury. Nad grobami płyną ciężkie jesienne chmury, z których mży drobny zimny deszcz.

Do Bunzlau dojeżdżamy późnym popołudniem. Stukot kół wagonu staje się coraz bardziej nieregularny, jakby i pociąg był zmęczony. Mijamy zrujnowane budynki przed stacją, kilka spalonych czołgów i dużą fabrykę z trzema wysokimi kominami. Widać już niewielkie miasteczko, otoczone granatowym kręgiem borów. Żegnamy się serdecznie z naszym opiekunem i panią Wierą, których zdążyłyśmy już polubić. Oni jadą aż do Drezna. To naprawdę dobrzy ludzie i wiele im zawdzięczamy. Wsiadamy z pociągu i obok nas na peronie, wyrasta sterta bagaży. Ostatnie promienie zachodzącego słońca, przebiły się przez wał brudnoszarych chmur i jaskrawo oświetlają zniszczony dworzec, z drewnianym daszkiem nad peronem. Ten pierwszy, mało zachęcający widok miasta, pozostał mi w pamięci na zawsze.

Rozglądamy się z ciekawością pomieszaną z rozpaczą. Więc to w tym mieście przyjdzie nam spędzić resztę życia? Tutaj będzie nasz nowy dom? Przy tym partykularzu, Rzeszów wydaje się nam metropolią. Mama jest szczególnie przygnębiona, bo miała nadzieję, że uda nam się powrócić do ukochanego, rodzinnego Poznania, gdzie mamy dużą rodzinę, a dziadek jest powstańcem wielkopolskim z 1918 roku. Mama wychowana w dużym mieście, bardzo za nim tęskni. Niestety, do dużych miast pchani są teraz mieszkańcy zapadłych wsi, którzy nawet za sto lat nie staną się prawdziwymi mieszczanami. Dlatego dla nas miejsca w Poznaniu nie ma!

Udręczone, spoglądamy za odjeżdżającym wolno pociągiem. Zabiera on z sobą nasze niespełnione nadzieje. W drzwiach budynku dworca pokazują się znajome twarze żołnierzy, przeniesionych tu z rzeszowskiego RKU. Przyszli nas powitać, a razem z nimi jest porucznik A. także z Rzeszowa. Ojciec wyjeżdżając, zobowiązał go do opieki nad nami. Jesteśmy powitane entuzjastycznie, a żołnierze lekko porywają nasze bagaże. Nareszcie przestaniemy je taszczyć!

W hali dworca, wyłożonej zielonymi kaflami, na ścianach pełno niemieckich afiszów,

których nikt do tej pory nie zdarł. Jeden przedstawia atletycznie zbudowanego SS-mana z pistoletem maszynowym na piersi, na tle wielkiej czarnej swastyki. Poniżej napis głosi: „Wir kapitulieren nie!” (My nigdy się nie poddamy!) A nieco dalej, polski afisz przedstawia żołnierza w hełmie z orzełkiem, lecz bez korony, dzierżącego w dłoniach karabin. Poniżej napis:” Na Berlin!” Aż dziw, że obaj wojacy nie wezmą się za łby, lecz wiszą zgodnie, niemal obok siebie.

Wychodzimy z dworca na ulicę. Przed nami pusty skwerek, dalej niewielki park pełen starych drzew. Ulica wyłożona wielkimi płytami, prowadzi do centrum miasta. Czujemy się tu obco i źle. Nieliczni podróżni już przeszli, dokoła prócz nas ani żywej duszy. Rozglądam się i nagle otwieram szeroko oczy, ściskając mamę za rękę. Przed nami zatrzymuje się czarna karetą zaprzężona w dwa konie. Autentyczna karetą z XIX wieku! Na widok naszych zdumionych min, żołnierze wybuchają śmiechem.

- No i jak się pani podoba nasz wojenny wehikuł? - pyta mamę porucznik A.

- Prędeż mogłam się spodziewać, że przyjedziecie po nas czołgiem. - śmieje się mama. - Skąd wytrzasnęliście to cudeńko?

- Trofiejne. Nasze auto zabrała komisja poborowa. A my, w nagłych wypadkach, posługujemy się tym oto reliktem przeszłości.

Porucznik szarmancko otworzył drzwiczki karety i pomógł nam wsiąść. Oszołomione, wcisnęliśmy się do czarnego pudła i konie ruszyły. Jazda zajęła nam kilka minut, bo RUK, znajdowało się w budynku dzisiejszej prokuratury przy ul. Chrobrego. W stojącym obok trzypiętrowym domu przy ul. Polnej 8, urządzają mieszkania dla oficerów i ich rodzin. Na razie na parterze mieszka tylko dozorca. Przy drzwiach powitał nas starszy, wąsaty jegomość z czerwonym nosem alkoholika. Zza jego pleców wyglądały twarze dwóch zaciekawionych kobiet. O tej porze, stołówka żołnierska była już zamknięta, dozorca otrzymał bojowe zadanie poczęstowania nas kolacją. Na stole pojawiła się butelka wódki oraz miska galarety z wieprzowych nóżek. Do tego ocet, pieprz, sól i chleb, czarny jak święta ziemia. Brrr! Nasze nadzieje na gorący posiłek rozwiały się jak dym.

Do mieszkania dozorca zaczęli schodzić się oficerowie z Rzeszowa, a mama opowiada „biednym wygnańcom,” nowiny o ich rodzinach i miejskie ploteczki. Zagrzebani w tym niemieckim miasteczku, panowie spragnieni są wiadomości z „wielkiego świata”. Jesteśmy nieludzko zmęczone i nie możemy przełknąć tej zimnej galarety, której do dziś nienawidzę. Cały czas marzę o położeniu się do łóżka, w ciepłym, przytulnym pokoju. Pokazało się jednak, że nie będziemy tutaj nocowały, lecz pojedziemy do nowego mieszkania. Ogarnęło nas podniecenie. Boże, jedziemy do domu, jakie to szczęście, że mamy już własny dom! Natychmiast puściłam wodze fantazji, wyobrażając sobie różowy pokój z małą lampką nocną stojącą na stoliczku przy białym zasłanym łóżeczku, z siedzącym na nim misiem. Nareszcie nie musimy się już nigdzie spieszyć, nic nas nie goni, bo za chwilę znajdziemy się w domu! Byłam ogromnie ciekawa, jak wygląda to nasze mieszkanie. Ile ma pokoi, jakie meble i czy posiada łazienkę? Bardzo bym chciała żeby w saloniku stał fortepian, jak w domu u dziadków, bo akurat zaczęłam się uczyć grać i miałam nadzieję, że gdy ojciec wróci, będziemy wieczorami muzykowali. A gdyby tak ten dom miał jeszcze balkon, jak w Rzeszowie, z widokiem na ogród i rzekę! Jednak doszłam do wniosku, że wymagam stanowczo za dużo, więc po namyśle zrezygnowałam z balkonu i rzeki. Za to już z góry cieszyłam się na kąpiel w ciepłej łazience! Posiedzę w wannie z godzinę, zmywając z siebie brud. Za to rano w naszej jasnej, przestronnej kuchni, powita mnie mama i poda mi smaczne śniadanie, na stole przykrytym białym obrusem. A może będę miała nianię, lub gosposię, taką kochaną jak nasza rzeszowska Hania?

Widocznie mama myśli o tym samym, bo widzę, że oczy jej się śmieją i czule przytula mnie do siebie. Ponownie wsiadamy do karety i jedziemy ciemnymi ulicami miasta. Otacza nas nieprzenikniona noc, lecz prawdopodobnie posuwamy się wolno wąwozem z ruin. Nigdzie niemal nie widać światła wskazującego, że tu mieszkają ludzie. Tylko dwie latarnie karety rzucają na drogę słabe światełka. Porucznik A. który odwozi nas na nowe mieszkanie, wraz z dwoma żołnierzami siedzącymi na koźle, opowiada o codziennym życiu w tym mieście. Podobno jest bardzo

zniszczone. Z jego półsłówek domyślamy się, że życie tutaj nie będzie usłane różami. Przy okazji dowiadujemy się, że miasto zostało nazwane Bolesławcem i ma starą piastowską historię, gdy zostało założone przez księcia Bolesława Wysokiego.

Jedziemy wąskimi, krętymi uliczkami, karetą ciągle podskakuje, trafiając na leżące na jezdni sterty gruzów. Nareszcie zatrzymujemy się przed jakimś domem. Jest zupełnie ciemno, więc niewiele widzimy, lecz po lewej stronie na wzniesieniu, dostrzegam jakąś wielką budowlę z wysoką wieżycą. To chyba kościół. Dom jest jednopiętrowy i kompletnie nie oświetlony. Ani w jednym oknie nie pali się światło. Porucznik A. wchodzi po kilku schodkach i energicznie puka do masywnych drzwi. Nikt nie otwiera, a dom wygląda na niezamieszkały. W tym czasie żołnierze zdążyli wyładować z karety nasze bagaże i pomagają porucznikowi walić do drzwi. Dom dosłownie trzęsie się od potężnych uderzeń. To niemożliwe, żeby nikt tego nie słyszał, chyba że jest głuchy lub nieżywy. Porucznik zapewnia zaniepokojoną mamę, że ktoś musi być w domu, bo miał czekać na nas i przygotować nam pokój. Pokój?... Kiedy nasza cierpliwość się kończy, za drzwiami słychać kroki i kobiecy głos pyta po niemiecku:

- Wer da⁵?

- Dobry wieczór, proszę otworzyć. - odpowiada porucznik również po niemiecku, przestępując z nogi na nogę, bo wszyscy porządnie zmarzliśmy.

Znowu czekamy i powoli tracimy nadzieję, że kiedykolwiek dostaniemy się do tej twierdzy. W końcu drzwi bezszelestnie się otwierają i na progu staje pulchna Niemka po trzydziestce, w turbanie na zaondulowanych włosach. Mierzy mnie i mamę taksującym spojrzeniem i nagle uśmiecha się uprzejmie.

- Oh, mein Gott, Herr Oberleutnant! - woła z udanym zdumieniem, zalotnie spoglądając na oficera, ale nie rusza się z miejsca.

Porucznik robi krok do przodu.

- Możemy wejść? - pyta po niemiecku.

- Bitte, kommen Sie herein. - odpowiada kobieta i nareszcie się cofa, zapraszając nas do wnętrza domu.

Porucznik A. przedstawia nas i upewnia się, czy mieszkanie dla nas jest przygotowane? Frau W. przypatruje się nam ponownie badawczo i potakuje. W domu są dwa mieszkania, na parterze i pierwszym piętrze. Po kamiennych schodach wchodzimy na górę do długiego, ciemnego przedpokoju i Niemka otwiera jakieś drzwi. Stajemy na progu pokoju i bez słowa patrzymy. Przed nami malutki, środkowy pokój z oknem wychodzącym na ulicę. Jedno łóżko z brudną pościelą, stara szafa, okrągły stół i dwa krzesła. Na nocnym stoliczku mała lampka nocna. To całe umeblowanie. Mama ciężko siada na pierwszym z brzegu krzesle i osłupiałym wzrokiem spogląda na żołnierzy wnoszących nasze walizki. Rozgniewany porucznik A. dopytuje się, dlaczego nie przygotowano dla nas lepszego pomieszczenia, przecież w domu nie brakuje ładnych pokoi. Niemka tłumaczy, że ten pokój zajmował ojciec, a ona nie śmiała nic zmieniać bez jego wiedzy.

Tere fere! Nie ulega wątpliwości, że Frau W. stanowczo nie życzy sobie nas tutaj. Zaraz też zrzuca ugrzecznioną maskę i oświadcza, że przyjechała do niej rodzina, uciekając przed bombardowaniem pod koniec wojny i zamieszkała u niej. Jej stara matka koniecznie potrzebuje spokoju, po przeżytych w głębi Niemiec nalotach.

Nasze marzenia o własnym mieszkaniu rozsypały się, jak domek z kart. Porucznik A. patrzy na mamę pytająco. Mama z rezygnacją wzrusza ramionami. Teraz jest nam już wszystko jedno. Pragniemy tylko położyć się i spać, spać, spać!... Moją uwagę zwraca duża ilość drzwi w naszym pokoju. Frau W. wyjaśnia, że jedne prowadzą do przedpokoju, nimi weszliśmy, drugie do pokoju zajmowanego przez jej rodzinę, a trzecie do pustego w tej chwili pokoju, w którym mieszka radziecki oficer, obecnie przebywający w terenie. Jej wyjaśnienia wcale mnie nie uspokajają, bo stanowczo za dużo tych drzwi i bardzo mi się to nie podoba. Porucznik żegna się z nami i życząc

5 Wer da? - Kto tam? Oh, mein Gott.. - O mój Boże, pan porucznik! Bitte, kommen... - Proszę, wejdźcie.

nam dobrej nocy, wychodzi razem z żołnierzami. Ale w ostatniej chwili, widząc nasze przygnębione twarze, pociesza nas, że to tylko tymczasowe mieszkanie, bo wkrótce ojciec postara się nam o coś o wiele lepszego. W końcu odchodzi, obiecując przyjść po nas rano i zabrać nas do RKU na śniadanie.

Zostajemy same, bo Niemka poszła odprowadzić porucznika do drzwi wejściowych. Mama natychmiast podrywa się z krzesła i z zaciśniętymi ustami zabiera się do zmiany pościeli na łóżku.

Na razie musimy korzystać z pierzyny i poduszek Frau W. bo nasze kołdry i poduszki pozostały w Katowicach u cioci. Mamy tylko jaśki i bieliznę pościelową, bardzo piękną, z koronkowymi wstawkami. Pomagam mamie jak mogę i rozwieszam w szafie nasze ubiory. Przez cały czas nie odzywamy się do siebie, a ja udaję, że nie widzę, jak po twarzy mamy spływają łzy. Chce nam się pić i marzymy o gorącej herbacie. Przy łóżku wisi elektryczny dzwonek. Przyciskam guzik i po chwili zjawia się pani domu. Jest mile uśmiechnięta, lecz jej oczy patrzą na nas zimno i z niechęcią. Mama pyta, gdzie można zagrzać wodę na herbatę? Niemka zaskoczona doskonałą niemczyzną mamy, błyskawicznie zmienia sposób bycia i uprzejmie sama przynosi nam czajnik pełen wrzącej wody. Nagle robi się bardzo rozmowna, wypytując nas o podróż i dziwi się, że ojciec nie zajął dla nas jakiejś willi, których tyle stoi opuszczonych przez właścicieli. Niezbyt taktownie dopytuje się, czy zamierzamy zatrzymać się tu na dłużej, bo o niej tłoczno, a my z pewnością potrzebujemy wygod. Mama odpowiada chłodno, że tylko chwilowo korzystamy z jej gościny, bo po powrocie ojca, zaraz się wyprowadzimy.

Całą rozmowę rozumiem niemal dosłownie, bo w czasie okupacji osłuchałam się z językiem „panów”. Czasami bawiłam się z moją imienniczką Gizelą, córką austriackiego aptekarza, który uratował mi życie, dając szczepionkę, kiedy zachorowałam na dyfteryt i odmówił przyjęcia zapłaty. Widać Niemce spadł kamień z serca i zaraz nabrała lepszego humoru. Zaczęła się zachwycać naszą pościelą i współczuła nam, że nie zastałyśmy ojca. Nieustannie zadawała nam jakieś pytania. Ta jej ciekawość zdenerwowała mamę, gdyż kobieta nie powodowała się nie sympatią, ale miała jakiś inny, ukryty cel. Mama potrafi zachować się bardzo wyniośle i oficjalnie, dając tym Niemce do zrozumienia, że pragniemy być same. Nareszcie zrozumiała i wyszła, życząc nam dobrej nocy.

Rzucam się na łóżko i tłumiąc głos rogiem pierzyny, duszę się łkaniem.

- Mamusiu, wracajmy do Rzeszowa! Ja nie chcę tu zostać! Chcę do domu! Do domu!

Rozczarowanie, jakie mnie spotkało w zetknięciu się moich pogodnych marzeń z ponurą rzeczywistością, przeradza się u mnie w agresję. Biję pięściami w poduszki i coraz gwałtowniej zalewam się łzami, tarzając się po łóżku w ataku hysterii. Mama, choć tak samo zawiedziona jak ja, nie pozwala sobie na słabość. Surowo obiecuje mi klapsa i poleca umyć się w miednicy. Z dzbanka stojącego na umywalce, nalewam wody i muskam palcami twarz, imitując mycie. Mama spostrzega tę oszczędną toaletę i uśmiecha się kącikiem ust, ale nic nie mówi. W tym mieszkaniu z pewnością jest łazienka, lecz wolimy jej nie szukać, aby znowu nie natknąć się na Frau W.

Kładziemy się obie do zimnego łóżka. W pokoju jest bardzo chłodno, a przecież przy bramie widziałam sporą stertę węgla. Jednak nikomu nie chciało się zapalić w piecu, czy posprzątać pokój na nasz przyjazd. Jest to taka mała demonstracja niezadowolenia. Mama gasi lampkę i pokój pogrąża się w ciemności. Leżymy mocno przytulone do siebie i nadśluchujemy. W całym domu panuje grobowa cisza, jakby nikt tutaj nie mieszkał. Z sąsiedniego, nie zajętego pokoju, dolatuje tykanie wielkiego zegara, a jego dźwięczne uderzenia odmierzają godziny nocy. Nie jestem już śpiąca, senność uleciała, pozostało tylko zmęczenie. Wraz z ciemnością narasta we mnie strach. Boję się tego obcego, nieprzyjaznego domu i jego gospodyni. Niepokoją mnie te drzwi prowadzące do frontowego, pustego pokoju. Drzwi od przedpokoju i mieszkania rodziny Frau W. mama zamknęła na klucz, lecz te klucza nie posiadają. Lękam się coraz więcej i szeptem proszę mamę, żeby zaświeciła lampkę. Znajdujemy się w obcym domu, a czasy są niebezpieczne, zewsząd grozi śmierć.

Przemieszczanie się setek tysięcy ludzi, to raj dla zbrodniarzy szukających bezpiecznego schronienia. Poza tym, włóczy się po tym terenie mnóstwo ludzi szalonych, psychopatów i

zbrojeńców, zbiegłych ze szpitali i więzień. Porucznik A. wspominał, że w pobliżu znajduje się tak zwany „Krasnyj Gorod”, zajęty przez stacjonujące w mieście wojsko radzieckie. To bardzo niemiłe sąsiedztwo i w duchu czuję do ojca pretensje. Przecież mógł zająć jakąś willę lub większe mieszkanie, sam lub z kolegą z RKU. Głośno zadaję mamie pytanie, dlaczego tak nie postąpił?

- Przecież znasz ojca. Nigdy nie potrafił zajmować się sprawami materialnymi, bo najpierw zajęty był konspiracją, a teraz znowu stale przebywa w terenie.

Niestety, mama również nie jest osobą chciwą dóbr doczesnych i zadowala się małym. Dzięki tym cechom charakteru, rodzice nigdy niczego się nie dorobili, chociaż inni wywozili stąd fortuny i opływali w dostatki. Nie pamiętam jak długo leżałyśmy w milczeniu, może godzinę lub dwie. Naraz sztywnieję i szeroko otwartymi oczami wpatruję się w niepokojące mnie drzwi. Widzę wyraźnie, jak duża ozdobna klamka wolno się porusza. Jednocześnie słyszymy obie delikatne trzaśnięcie podłogi pod czyjąś stopą.

Zrywamy się z łóżka. Mama mocno obejmuje mnie ramieniem i zdławionym głosem pyta: „Kto tam?” Cisza. Klamka przestaje się poruszać i słychać czyjeś lekkie kroki szybko się oddalające. Chwytny krzesła, stolik i barykadujemy drzwi. Ale nie jest to żadna przeszkoda dla tego, kto chciałby te drzwi sforsować. Jednak ta nędzna osłona dodaje nam nieco otuchy. Zapalam górną lampę, bo i tak nie zamierzamy spać tej nocy. Siedząc na łóżku, zastanawiamy się, kto próbował wejść do naszego pokoju i po co? Dla zamożnej Niemki, to co posiadamy, nie przedstawia dużej wartości. Dla płaszcza z lisem, nie zaryzykuje bliższej znajomości z milicją, a nawet z Urzędem Bezpieczeństwa, bo zamach na rodzinę oficera polskiego, skończyłby się dla niej fatalnie. Mama zapewnia mnie, że jest to dalsza demonstracja niechęci i próba wypłoszenia nas z tego mieszkania. Tylko dlaczego? Przecież nasza obecność zapewnia Niemcom bezpieczeństwo i spokój, a także użytkowanie mieszkania, bo władze miejskie mogłyby natychmiast kogoś jej dokwaterować. W mieście brakuje żywności, opału, dosłownie wszystkiego, a Polacy mają miękkie serca i można z nimi pohandlować, czy wyprosić coś dla dziecka. Widocznie Frau W. ma poważne powody, żeby nas sobie nie życzyć.

W myślach przenoszę się do naszego cichego, bezpiecznego domu w Rzeszowie, gdzie było mi tak dobrze, chociaż nie był to dom moich rodziców, tylko dziadków. Z początkiem 1945 roku, wojska radzieckie, razem z ochotnikami polskimi, przyspuściły szturm na Cytadelę Poznańską, zaciekle broniącą przez elitarne jednostki niemieckie. Twierdza bombardowana z powietrza i ostrzeliwana z najcięższych dział, płonęła i rozsypywała się w gruzy. Wraz z nią obracało się w popiół nasze mieszkanie tak piękne, że nazywane było przez gości „bombonierką”! Palił się mój biało-niebieski pokój dziecienny, wypieszczony przez mamę, gdzie miałam spędzać lata radosnego dzieciństwa. W rzeczywistości spędziłam w nim dokładnie dwa dni przed tułaczką, zakończoną w małym, ponurym Bolesławcu. Po klęsce wrzesniowej, na dziedzińcu Cytadeli spędzono polskich oficerów i żołnierzy z pułków poznańskich, uczestników obrony Warszawy, wziętych tam do niewoli. Wśród nich znajdował się mój dziadek, ojciec mamy i wuj. Obaj wpatrywali się w okno naszego mieszkania i stojącego w nim niemieckiego dowódcę Cytadeli. Stał wyprostowany, na tle koronkowych firan i jedwabnych zasłon, patrząc z wyniosłą miną na zabiedzonych polskich jeńców.

Pociągam nosem, bo zbiera mi się na płacz. A tak marzyłam o cichym, spokojnym spoczynku. Mama pociesza mnie mówiąc, że to tylko chwilowa przykrość, bo prędko się stąd wyprowadzimy i urządzimy sobie prawdziwy rodzinny dom. Chcę w to wierzyć, ale jakoś nie mogę. Dokoła panuje cisza, lecz już nie dajemy się zwieść pozorom. Postanawiam, że w razie napaści, wychylę się przez okno i będę wzywała głośno pomocy. Mama uśmiecha się sceptycznie. Przecież Polaków w pobliżu nie ma, a Niemcy nie kiwną palcem w naszej obronie.

Niespodziewanie wybucha strzelanina. Pod oknami słychać krzyki, tupot nóg, hałas się zbliża, a po murze bije seria z automatu. Do bramy ktoś zaczyna się uporczywie dobijać. O Jezu! Mama gasi natychmiast światło i obie przykłękamy, aby uniknąć zranienia. Słyszymy krzyki, potem jęki, ktoś wyje, nie wiadomo w jakim języku. Znowu słychać strzały, z przeraźliwym brzękiem wylatuje jakaś szyba, rozbijając się na chodniku. Kulimy się pod ścianą, odmawiając szeptem

pacierz. Powoli się ucisza. Mama ostrożnie podchodzi do okna, idę za nią jak cień. Ale w tych egipskich ciemnościach niczego nie widzimy. Przez chwile nadśluchujemy, potem zmarznięte kładziemy się do łóżka. Boże, kiedy ta koszmarna noc się skończy? Zegar wybija trzecią nad ranem, a czas wlecze się w żółtym tempie. Tej nocy czekały nas jeszcze dwie podobne awantury. Mimo piekielnego hałasu, Niemcy zachowywali się cicho, jak mysz pod miotłą. „Dziki Zachód” przestał mi się podobać. Okazało się, że zasługuje na swoją nazwę, ale mnie to już wcale nie bawiło. Obawialiśmy się zasnąć przekonane, że może to być ostatni sen w naszym życiu. Dopiero gdy zaczęło świtać, trochę się zdrzemnęliśmy. Porucznik A. dotrzymał słowa i zjawił się około dziewiątej rano. Zastał nas zmęczone, niewyspane, przestraszone i złe. Wysłuchawszy naszej jereimiady, pokiwał tylko głową.

- Codziennie zdarzają się takie awantury. To dopiero początki i trudno od razu zaprowadzić porządek w mieście. Trzeba się przyzwyczaić, bo inaczej tutaj nie wytrzymacie. W tym domu jesteście bezpieczne. Rosjanie tu nie wejdą, bo na murze wisi tablica, że kwaterują tu oficerowie polski i radziecki. To was uchroni przed napaścią.

Niekoniecznie groziła nam napaść z zewnątrz. Jak bardzo się porucznik pomylił, dowiodły to czekające nas wydarzenia, zakończone głośnym procesem we Wrocławiu i kilkoma wyrokami śmierci. Frau W. przyszła powiedzieć nam „Guten Tag.” Mama patrząc na nią surowo spytała ostro, kto próbował wejść nocą do naszego pokoju? Niemka uniosła brwi w udanym zdumieniu.

- Ależ to niemożliwe. - oświadczyła z przekonaniem. - W tym mieszkaniu są tylko kobiety i dwoje małych dzieci. Musiała się pani przestyszeć.

Mama z równą stanowczością stwierdza, że obie słyszałyśmy kroki i widziałyśmy poruszającą się klamkę.

- Nein, nein. Pani się myli, przecież wszyscy mocno spaliśmy. Nikt nie słyszał żadnych hałasów. Te podłogi nocami trzeszczą pod wpływem wilgoci. Często sama ulegam złudzeniu, że ktoś chodzi.

Nie było sensu z nią dyskutować, więc mama udaje, że została przekonana. Ponieważ wcale nie znamy miasta, porucznik A. służy nam za cicerone i prowadzi nas do RKU na śniadanie. Tam też miałyśmy codziennie w stołówce jadać obiady. Dzień był jasny i słoneczny, niebo niebieskie i bezchmurne. Z wielkich kasztanowców i lip oraz wysokiej brzozy, rosnących opodal domu, spadały na ziemię pożółkłe liście, tworząc brunatny kobierzec. Na ulicy jesteśmy sami, bo w pobliżu nie widać ludzi. Idziemy powoli, przypatrując się śladom wojny widocznym na każdym kroku. Na wprost naszego domu, wznosi się fasada kościoła ewangelickiego, wyrastająca z potężnych średniowiecznych murów. Kościół jest splądrowany, wysoka pseudogotycka wieżyca była widocznie punktem obserwacyjnym, bo cała posiekana jest odłamkami. Obok dwóch jednopiętrowych domów, zachowało się kilka innych budynków, ale domy są puste i zdewastowane. Właściwie ta ulica, (Kubika) miała szczęście, bo żadna kamienica nie została zburzona. Lecz nieco dalej, na dzisiejszej ulicy Kutuzowa i I- Maja, większość domów leży w gruzach. Ocalałe kamienice nie posiadają ani drzwi, ani okien, a ściany posiekane są kulami. Meble, sprzęt gospodarczy, a nawet odzież, wywleczone są na ulicę, jak wnętrzności trupa, płacząc się nam pod nogami. Co chwilę potykamy się o jakieś garnki, rozbite talerze i połamane sztuce.

Tutaj widać wyraźnie ślady rabunku. W tunelu prowadzącym na Rynek, wisi na jednym gwoździu tablica z nazwą ulicy: „Nicolai Strasse” - sylabizuję mozolnie. Domy są puste, straszą tylko czarnymi dziurami po pociskach. Sklepy mają rozbite szyby wystawowe, a na ulicy poniewierają się resztki towarów. Nieprzyjemnie zgrzyta pod nogami rozbite szkło. Na jednej z wystaw, w sklepie obok tunelu, zachował się manekin kobiecy. Stoi na poranionych kulami nogach, z jedną ręką urwana i prezentuje na sobie strzępy munduru BDM. (Związek Niemieckich Dziewcząt, pełniący często funkcje Pomocniczej Służby Kobiet) Bezmyślnie uśmiechnięta twarz manekina i staranna fryzura, sprawiają dosyć upiorne wrażenie. W innym sklepie, dostrzegam kasę pancerną rozbity pociskiem z działa. Z jej wnętrza wysypują się banknoty już bez wartości, nikomu niepotrzebne.

Śliczny Rynek o zachowanej średniowiecznej zabudowie, niemal cały leży w gruzach. Ocalała jedynie część strony północnej i dwa domy pod zabytkowym kościołem katolickim, cudem zachowanym. W jednym z nich mieści się hotel „Piaś”, w drugim, pierwsza w mieście restauracja z dansingiem „Lwowianka”, której właścicielem jest porucznik A. Ocalała także ulica Kościelna. Lecz od banku i nie istniejącego już przedłużenia ulicy Polnej, Tyrankiewiczów, ul. Bankowej, Opitza, Brody, wszystko zajęte jest przez wojska radzieckie. „Krasnyj Gorodok” obejmuje centrum miasta i jest to dzielnica bardzo niebezpieczna. Często wychodzą z niej uzbrojeni po zęby żołnierze, zwykle pijani, i wążają się po ulicach, strzelając, albo rabując przechodniów. Ta enklawa rządzi się własnymi prawami, a Polacy nie mają tam wstępu. Ludzie starannie i z daleka omijają te dzielnice.

Miasto jest prawie bezludne. Jeżeli już ktoś się pojawi, to z pewnością jest to żołnierz albo Niemiec. Ci ostatni szczególnie zwracają na siebie uwagę, jakimś szczególnym zachowaniem, bo przesuwiają się bojaźliwie, jakby obawiali się kogoś potrącić. Mężczyźni noszą na sobie przeważnie resztki mundurów i część odzieży cywilnej. Na głowach mają czapki wojskowe, z zerwanym godłem. Nieliczni Polacy giną w masie wojskowych i tubylców. Porucznik A. powiada, że w całym powiecie jest nas nie więcej niż trzystu Polaków! Oprócz Niemców, Rosjan i Polaków, są w Bolesławcu także Włosi, więźniowie filii obozu koncentracyjnego Gross Rosen, znajdującej się na terenie Zakładów Chemicznych „Wizów” i w „Hance”, byłej niemieckiej Concordii.

Na środku Rynku stoi piękny ratusz, na szczęście niewiele uszkodzony. Ponad ruinami ul. Prusa, dostrzegam wysmukłą, pseudogotycką wieżycę kościoła Ewangelickiego, nasz znak rozpoznawczy. Miasto jest straszliwie zrujnowane. Całe dzielnice leżą w gruzach, a resztę zniszczył ogromny pożar. Czarne kikuty spalonych domów sterczą w błękitne niebo, a ściany zapadły się aż do piwnic. Gdzieniegdzie potężne wybuchy bomb kruszących, wywaliły całe sterty gruzów, zasypując ulice. Podobno sprawcami pożaru miasta byli Rosjanie, ale ja do dzisiaj w to nie wierzę.

Wycofujące się wojska niemieckie, niszczyły i paliły za sobą wszystko, aby pozostawić nieprzyjacielowi gołą, spaloną ziemię. Takie były rozkazy dowództwa niemieckiego i samego Hitlera. Przechodzimy wąskimi ścieżkami pośród ruin, na których z trudem mogą minąć się dwie osoby. Nocą przejście tymi ścieżkami jest niemożliwe. Na dzisiejszej ulicy Daszyńskiego, naszą uwagę zwracają ruiny jakiegoś pałacu. Wspaniałe marmury pokrywają resztki ścian, a w gruzach walają się szczątki posągów i zbitych witraży, zdobiących niegdyś wielki westybul. Pałac był domem Hoffmana, właściciela ogromnej fabryki, której trzy wysokie kominy widzimy za dworcem. Pałac zajmował cały róg ulic Daszyńskiego i Tamki. Na małym skwerku przed dworcem kolejowym, widać kilka bezimiennych grobów. W budynku, gdzie mieścił się potem hotel robotniczy Zakładów Chemicznych „Wizów”, zorganizowano mały szpitalik.

RKU znajduje się w dużej pięknej willi, stojącej pośród strzyżonych trawników i klombów kwiatowych, pełnych kwitnących wiosną irysów, pomarańczowych lilii, łubinów i piwonii. Latem wynosiliśmy tam fotele, stoliki, i całe towarzystwo zasiadało pośród ozdobnych krzewów i kwiatów. Był nawet natrysk z zimną wodą! Na klombach rosły śliczne różowe karłowate różyczki, podobnych nigdzie potem już nie widziałam. Przy zwirowanych alejkach kwitły nawet fiołki, kaczęce i forsycje, pomiędzy niewielkimi szpalerami bukszpanowymi. Ogród zniszczono, budując jakieś obskurne budy. Ilekroć tamtędy teraz przechodzę, jest mi bardzo przykro, bo pamiętam jak tam było pięknie.

Kiedy nareszcie dochodzimy do RKU, jestem już bardzo głodna. Przed bramą stoi wartownik. Poznał nas i z uśmiechem salutuje. Stołówka znajduje się na pierwszym piętrze mieszkalnego budynku przy ul. Polnej 8. Siadamy przy długim stole przykrytym ceratą i po chwili dostajemy kawę zbożową z mlekiem, chleb ze smalcem i pastą ze śledzia, słoną jak Wieliczka. Dziś wyjątkowo otrzymujemy śniadanie, bo jeszcze nie odebrałyśmy od kwatermistrza suchego prowiantu. Od jutra będziemy tu przychodzić tylko na obiady. W dziale prowiantowym przyjmuje nas sierżant, niski i okrągłutki jak piłeczka. Ma poczciwe niebieskie oczy i pucułowatą buzię aniołka z wąsami. Z półki zdjął duże tekturowe pudło i zaczął pakować prowiant, składający się z

razowego chleba, kawy zbożowej, puszki smalca, cukru, soli, marmolady i twardego jak deska suszonego dorsza! Obładowane jak wielbłądy, podziękowałyśmy i skierowałyśmy się do drzwi, ale widocznie sierżant uzalił się nade mną, bo dorzucił - tak z dobrego serca - puszkę mielonej wieprzowiny, tabliczkę czekolady i skondensowane mleko z UNRY. (tak naprawdę wcale nie uzalił się nade mną, tylko urzekła go uroda mamy!)

Wracamy do stołówki na obiad. Na widok zniechęconej zupy ziemniaczanej, wpadłam w rozpacz w ciapki! Przez całe lata okupacji, ta nieszczęsna zupa pojawiała się niemal codziennie na naszym stole. Przysięgłam sobie uroczyście, że po wojnie nigdy więcej nie wezmę jej do ust. Akurat! Nie oczekiwaliśmy z mamą jakichś luksusów, pulardy ze szparagami, czy innych wymyślnych dań, ale grochówka na boczku, krupnik czy pomidorowa byłyby mile widziane. Niestety, musimy zjeść tę ziemniaczankę. Bardzo zły prognostyk! Jesteśmy osłabione długą podróżą i przygnębione widokiem zrujnowanego miasta, w którym przyjdzie nam żyć. Z lękiem myślimy o czekającej nas nocy w domu Frau W. A tu jeszcze ta zupa! Spuszczam głowę i solę łzami i tak przesoloną zupę.... Na drugie danie był dorsz, wyglądał podejrzanie, ziemniaki i nie dogotowana kapusta.

Po powrocie do domu, nie miałam pojęcia, co mam zrobić ze swoją osobą. Mama z właściwą sobie energią, zabrała się do generalnych porządków w naszym pokoju oraz prania. Umyła okna, wywietrzyła pokój i pościeliła, kazała Frau W. przynieść węgla i napaliła w piecu. Ja, przeganiana z kąta w kąt, nie miałam się gdzie podziać i ciągle wpadałam mamie pod miotłę lub ścierkę. W końcu znudzona i rozgoryczona, postanowiłam zwiedzić dom. Na tyłach budynku był niewielki ogród nadający się do zabawy i rosły drzewa. Zaczęłam biegać tam ze skakanką, jednak zabawa skończyła się dla mnie fatalnie, bo buszując po gęstych krzakach, natrafiłam na niemiecki hełm. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie to, że w hełmie znajdowała się czaszka! Doznałam szoku i uciekłam stamtąd z wrzaskiem, oglądając się w obawie, czy mnie ta upiorna czaszka nie goni. Nie było to wcale ostatnie makabryczne znalezisko. W gruzach, piwnicach, ogrodach, nawet na strychach, przez długi czas można było znaleźć ludzkie szczątki. Pewnego razu, na strychu domu w którym mieszkaliśmy, pod kupką piasku znalazłam ludzką kość goleniową!

Spacer mi się nie udał, więc roztrzęsiona wróciłam do domu. Na parterze mieszkała wtedy doktor Brygitte Daum, a na pierwszym pięttrze, właścicielka domu Frau W. zalotna wdówka, mająca dwóch synów nieco starszych ode mnie. Wbiegłam po schodach na piętro i nacisnęłam klamkę pierwszych drzwi. Nieśmiało zajrzałam do banalnie urządzonego pokoju. Stała tam serwantka, pełna naczyń z ceramiki, a obok biblioteczka. Książki uwielbiałam od dziecka, więc podeszłam i zaczęłam je przeglądać. Zaraz wpadło mi w ręce pięknie wydane „Mein Kampf” Adolfa Hitlera, z portretem wodza. Z fotografii patrzyły na mnie jego zimne, złe oczy. Rzuciłam książkę z popłochem, dziwiąc się, że Frau W. nie boi się trzymać tego w bibliotece. Wzięłam inną książkę i natrafiłam na śliczne bajki braci Grimm. Postanowiłam pożyczyć ją sobie i obejrzeć kolorowe obrazki. Może mama poczyta mi coś wieczorem przed spaniem i przetłumaczy na język polski?

Korciło mnie, żeby złożyć wizytę Frau Doctor, bo byłam ciekawa, czy jej gabinet jest tak samo luksusowo urządzony, jak ciotecznego dziadka Tadeusza? Dziadek miał w gabinecie figurkę Murzynka, trzymającego popielnicę. Był mego wzrostu i ogromnie mi się podobał! Raz jeszcze zeszłam na parter i stanęłam pod drzwiami mieszkania lekarki. Panowała tam absolutna cisza, więc chyba pani doktor nie ma w domu. Ale na wszelki wypadek zapukałam i położyłam rękę na klamce. Naraz jak spod ziemi wyrosła przede mną Frau W.

- Tam nie wolno wchodzić, Fräulein Elza! - ostrzegła, biorąc mnie za rękę i ciągnąc za sobą po schodach.

Łamaną niemczyzną przeprosiłam wyjaśniając, że chciałam tylko zajrzeć do gabinetu. Nie ma pacjentów, więc chyba bym jej nie przeszkadzała.

- Owszem ma pacjentów i nie wolno jej przeszkadzać. - oświadczyła oschle gospodyni, i odeszła, doholowawszy mnie pod drzwi naszego pokoju. Obraziłam się na nią i postanowiłam pożalić się mamie, kiedy usłyszałam czyjś szept:

- Pssst! Elza!

Obróciłam się i w szparze drzwi następnego pokoju, dostrzegłam dwie roześmiane twarze. Byli to synowie Frau W. ośmioletni Hans i siedmioletni Fritz. Chłopcy wydali mi się bardzo sympatyczni i uśmiechali się do mnie przyjaźnie. Mimo niechęci do ich matki, prędko się zaprzyjaźniliśmy. Bajki Grimmów w mojej ręce, pomogły nam nawiązać rozmowę. Obaj chłopcy na wyścigi zaczęli mi opowiadać po niemiecku treść bajki o Gęsiareczce, tak szybko, że zupełnie ich nie rozumiałam. Zatkanam palcami uszy, prosząc żeby mówili wolniej. Chłopcy śmiejąc się, tym razem wolno i dokładnie wymawiając słowa, opowiedzieli bajkę, pokazując palcem szczegóły przedstawione na obrazku i wyraźnie wymawiając nazwy. Ja powtarzałam te słowa po polsku. Korzyść była obopólna i wkrótce wypracowaliśmy sobie swoisty język, składający się ze zdań polskich, niemieckich i migowych, którym błyskawicznie się porozumiewaliśmy. Zabawa trwała do czasu, aż mama zawołała mnie na kolację. Kazałam chłopcom poczekać, pobiegłam do pokoju i podzieliłam tabliczkę czekolady na cztery części. Dla mamy, dla mnie i dla chłopców. Nowi przyjaciele wycelowali mnie z wdzięczności. Wiedziałam, że mnie lubią i ja także ich lubiłam. Moje poglądy nieco się zmodyfikowały, bo w Rzeszowie, za samo przypuszczenie, że będę musiała bawić się z Niemcami, rozbiłam Włódkowi nos! Mama była zadowolona, że mam towarzystwo odpowiednie do mego wieku, bo skazana wyłącznie na obcowanie z dorosłymi, nudziłam się potwornie i czułam się bardzo samotna.

Najsmutniejsze są wieczory. Długie, niekończące się wieczory, kiedy wcześniej zapada zmrok, a ulewny deszcz spływa po szybach i dzwoni w rynnach. Wiatr wyje w kominach i miota nagimi konarami drzew. Takie jesienne wieczory potęgują uczucie samotności, a my byłyśmy szczególnie samotne, daleko od rodziny, w obcym, nielubianym mieście, pomiędzy wrogimi ludźmi. Siedziałyśmy w ciemnym, nieprzytulnym pokoiku bez wygod, do których byłyśmy przyzwyczajone, a czas płynął bardzo wolno. Mama coś szyła lub haftowała, ja gryzmołam nieudolne rysunki na kawałku papieru i marzyłam o powrocie do dziadków. W pokoju było chłodno, bo swojego węgla nie posiadamy, a Frau W. niechętnie dzieli się z nami swoim zapasem, choć otrzymała węgiel pod warunkiem, opalania wynajmowanych pokoi oficerów polskich i radzieckich. Ciszę przerywa niekiedy odległa strzelanina, albo pijackie wrzaski. Za ścianą, siostrzenica gospodyni Fraulein Margot, gra na pianinie klasyków. Jest dobrą pianistką i słyszymy jak znakomicie interpretuje Sonatę Patetyczną Beethovena, którą tak często grała w Rzeszowie ciocia Stasia. Margot ma również ładny głos i lubię, kiedy śpiewa „Króla Olch”, „Różyczkę”, czy „Piękną młynarkę” Schuberta. Raz nawet zagrała „Lot Walkirii” z „Pierścienia Nibelungów” Wagnera, ale w połowie przerwała. Wagner był ulubionym kompozytorem Hitlera, który uwielbiał jego potężną, wspaniałą muzykę. Przez to genialny kompozytor przez długi czas znajdował się jakby na indeksie. Delikatne dźwięki pianina dochodzą do naszych uszu, budząc tęsknotę za przeszłością. Codziennie po kolacji, cała rodzina zbierała się w saloniku przy fortepianie, a ciocia Stasia rozpoczynała koncert wieczorny Chopinem. Potem chóralnie śpiewaliśmy pieśni ze „Śpiewnika domowego” Moniuszki, a kiedy babcia miała dobry humor, sama zasiadała do fortepianu i grała kontredanse, kadryle, galopy i walce, tańce modne za czasów swojej młodości. Potem ciocia Marynia popisywała się nieśmiertelną „Modlitwą dziewicy” Tekli Bondarzewskiej⁶, z którego to utworu wyśmiewali się panowie. Teraz jedynie myślami możemy wrócić do tamtych cudownych, spokojnych czasów. Na razie nie piszemy do Rzeszowa, bo poczta boryka się jeszcze z wieloma trudnościami. Zresztą prawda o warunkach, w jakich tu żyjemy, tylko zmartwiłaby rodzinę.

W Bolesławcu czujemy się obie źle psychicznie i fizycznie. Niedobry klimat jest w tym

6 Niedawno dowiedziałam się z telewizji, że do dziś Japończycy zachwycają się tą pogardzaną i wyśmiewaną przez nas kompozytorką z XIX wieku, zupełnie u nas zapomnianą!

mieście. Ja ostatnio miewam napady nieuzasadnionego lęku. Czegoś się boję i nie potrafię tego uczucia zwalczyć. 15 października imieniny obchodzą Jadwigi. To święto babci Jadzi, mamusi mojej mamy. Również żona porucznika A obchodzi dziś imieniny. Porucznik spotkał nas na obiedzie i zaprosił po południu na kawę do swego domu. Pojechaliśmy tam kareta, gdyż dzień był mglisty i mrok zapadł wcześniej niż zwykle.

Państwo A. mieszkali w luksusowej willi w dużym ogrodzie, na dzisiejszej ulicy Łukasiewicza.(teraz w tym miejscu stoją bloki) Pani Jadwiga okazała się osobą sympatyczną i przyjęła nas bardzo uprzejmie. Obok niej stała córka państwa A. dziewczynka, nieco starsza ode mnie. Panie usiadły w gabinecie i rozmawiały o trudnych warunkach bytu i o obawach Polaków, że coś może się wydarzyć i te ziemie powrócą w posiadanie Niemców. Ja i Ala boczyłyśmy się na siebie, nieufne i zjeżone. Pani Jadwiga poleciła córce zaprowadzić mnie do dziecinnego pokoju i pokazać swoje zabawki. Oglądałam je ze znużoną miną udając, że to wcale mnie nie interesuje. Ale w głębi ducha ogromnie Ali zazdrościłam, tych pluszowych misiów, lalek i innych zabawek, których miała mnóstwo, będąc jak ja jedynaczką. Ala patrzyła na mnie z ironią, nie dając się nabrać na moją udawaną obojętność. Byłam za to na nią taka wściekła, że najchętniej odebrałabym jej te zabawki, a ją samą sprząłabym na kwaśne jabłko. Prychnęłam pogardliwie i z godnością zesłam do gabinetu, sadowiąc się przy mamie.

Byłam głodna i z niecierpliwością oczekiwałam na poczęstunek. Nareszcie usłyszałyśmy zaproszenie do jadalni. Natychmiast wyobraziłam sobie półmiski pełne dobrych rzeczy, może nawet parówek, czy sałatki ziemniaczanej z ulubionym majonezem. Ale na stole ujrzałyśmy kryształową paterę, a na niej kilka kruchych ciasteczek. Westchnęłam, przykro zawiedziona. Och, z jakim apetytem zjadłybyśmy kaszę ze skwarkami, albo grubą kromkę chleba ze smalcem i z kiełbasą, ale nic z tego. Wzięłyśmy skromnie po jednym ciasteczku, chociaż ja sama mogłabym zjeść wszystkie wypieki znajdujące się na paterze. Byłam bardzo głodna i już wyciągnęłam rękę, żeby wziąć drugie ciasteczko, ale powstrzymał mnie groźny wzrok mamy i ustrzegł od poważnego naruszenia etykiety. Jako wzorowo wychowana panienka, ułożyłam buzię w ciup i siedziałam jak trusia, a moje kiszki skręcały się z głodu.

Porucznik A. nie towarzyszył nam przy stole, bo wezwany pilnym telefonem, udał się do RKU, jadąc tam kareta. Miał po nas wrócić i odwiedzić do domu. Czekaliśmy na tę kareta, wizyta się przeciągała, a my byłyśmy coraz bardziej głodne. Pani Jadwiga zadzwoniła do RKU i wtedy się okazało, że porucznik musiał udać się w teren i nie wiadomo kiedy powróci. Nie miałyśmy wyboru i postanowiłyśmy same wrócić do domu.

Dopiero po fakcie zdałyśmy sobie sprawę, że było to po prostu szaleństwo, lecz tłumaczyła nas nieznajomość niebezpieczeństw czyhających na nierozważnych. Pani A. postąpiła również jak obrana z rozumu, pozwalając nam odbyć samotną wędrówkę przez ciemne, obce, zrujnowane miasto. Powinnyśmy pozostać w willi do rana, bo miejsca było tak dużo, że przenocowanie nas nie sprawiłoby pani A. żadnego kłopotu. Nie słysząc zaproszenia, pożegnałyśmy się i wyszłyśmy na ulicę. Natychmiast wpadłyśmy w gęstą mgłę, a wszystko dokoła nabrało nierealnych kształtów. Kompletna ciemność potęgowała jeszcze niesamowitą scenerię, jak z filmów grozy. Na nieszczęście nie był to film, lecz groźna rzeczywistość, z której nie zdawałyśmy sobie początkowo sprawy. Było nam nieswojo, ale jakby w milczącym porozumieniu, grałyśmy wobec siebie zucha. Wiedzione raczej instynktem niż wzrokiem, szłyśmy przed siebie nieznanymi ulicami. Dziś wiem, że Opatrzność skierowała nas na ulicę Asnyka. Gdybyśmy poszły w kierunku Banku Zachodniego, wpadłybyśmy prosto do Krasnego Gorodoka i to byłby nasz koniec. Wokół nas szara ciemność, wilgotno i zimno. Pasma mgły układają się w fantastyczne kształty. Drobną deszcz mży i po chwili całe jesteśmy mokre. Ulice są nie oświetlone, w żadnym mijanym domu nie widać światła, nie ma też przechodniów. Idziemy szybko, potykając się o leżący na chodnikach gruz. Czasami wpadamy w jakąś dziurę. Przytulone do siebie, dzwonimy zębami, rozglądając się podejrzliwie, czy ktoś za nami nie idzie. Nie wiedząc o tym, szłyśmy ulicą Asnyka w kierunku Rynku, szukając charakterystycznego tunelu. W całkowitych ciemnościach minęłyśmy Rynek, nie trafiwszy na tunel.

W jakiejś chwili zdałyśmy sobie sprawę, że błądzimy i nie wiemy gdzie jesteśmy. Ogarnęła nas zgroza. Pomimo chłodu miałam czoło zroszone zimnym potem i zrezygnowałam z udawania zucha.

- Mamo, ja się boję! - wyszeptalam. - Gdzie my jesteśmy?

Mama mocno ścisnęła mnie za rękę.

- Nie wiem, córuniu. Lepiej się nie odzywajmy, bo lichy nie śpi.

Zdajemy sobie sprawę, że zaczynamy kręcić się w kółko, błądząc w kompletnie zrujnowanej dzielnicy. Matko Najświętsza, zgubiłyśmy się w gruzach, nie wiemy dokąd iść i nie mamy kogo spytać się o drogę. Przyśpieszamy kroku i staramy się iść w jednym kierunku, ale nie orientujemy się, czy zbliżamy się, czy może oddalamy od domu. Nielubiany dom Frau W. nagle wydaje mi się bezpiecznym azylem, jasną przystanią, do której uparcie zmierzamy. Z obu stron ulicy widzimy same gruzy, a raczej wydaje się nam, że widzimy, bo mgła gęstnieje, zasłaniając wszystko grubym welonem. Byłyśmy prawdopodobnie na niemal całkowicie zburzonej ulicy Prusa i kręciłyśmy się, nie widząc z niej wyjścia. Dokoła nas panuje cisza, ale w tej mgle wszystko jest względne, a cisza jest tylko pozorną, bo nagle słyszymy przed sobą ostry terkot broni maszynowej, a kule biją po murze nad naszymi głowami. Ktoś wrzeszczy, a zaraz potem rozlegają się strzały i jęk:

- Hilfe, hilfe!....

Potem ze wszystkich stron wybuchają ochrypte wrzaski. Strzelanina się wzmaga, nie wiemy kto do kogo strzela i po co. Przerazone, zaczynamy uciekać, potykamy się i padamy, podnosimy się i biegniemy dalej. Kolana mam pozbijane do krwi, ale nie możemy się zatrzymać, bo to śmierć. Skręcamy w jakąś wąską uliczkę. Z jednej strony jest wysoki mur, z drugiej gruzy. Prędko orientujemy się, że jesteśmy w ślepych zaułku. Przed nami znowu wyrasta mur. Zawracamy i uciekamy z powrotem dosłownie w ostatniej chwili. Za plecami naraz potężna eksplozja. Pęd powietrza niemal zwała nas z nóg, odłamki świszczą w powietrzu, tnąc pobliskie ruiny. Mama podrywa się i ciągnie mnie za sobą. Pędzimy przed siebie, wykręcając sobie nogi na nierównościach ulicy. Zaczynam odmawiać pacierz, lecz słowa modlitwy uciekają mi z pamięci, gubię wątek i tylko bełkoczę coś bez sensu. Mama pochyla się ku mnie.

- Co mówisz? - pyta zdyszonym głosem.

- Modłę się. - odpowiadam, chwytając gwałtownie oddech.

- Co mówisz? - ponownie pyta mama.

- Cholera, modłę się! - wrzeszczę z wściekłością, zapominając o zachowaniu ciszy. Zresztą strzały nie milkną i o ciszy nie ma mowy.

Mama jest tak przerażona, że zapomina skarcić mnie za przekleństwo. A jednak Bóg nas strzegł. Wybuch, jaki słyszałyśmy za sobą, to z pewnością rzucona w zaułek wiązka granatów. Gdybyśmy stamtąd nie uciekły w ostatniej chwili, eksplozja rozdarłaby nas na sztuki. Wpadamy w jakąś uliczkę w połowie zabudowaną i nadal nie wiemy gdzie jesteśmy. Z jednej strony wysoki mur, a z drugiej kilka domów, jakby piętrowe wille.... Za nami biegną jacyś ludzie, słyszymy ciężki tupot podkutyh butów. Już nie wiemy gdzie możemy się ukryć i nie mamy siły, żeby dalej uciekać. Przysiadamy na ziemi w jakimś załomie murów, dygocząc ze zmęczenia i strachu. Serce podchodzi nam do gardła i bije tak mocno, że nie mogę przez chwilę zaczerpnąć powietrza. Ktoś przebiega koło naszej kryjówki. Rozlega się wystrzał z karabinu i człowiek z jękiem wali się na ziemię. Mama zatyka mi ręką usta, żebym nie krzyczała, ale ja nawet nie mam siły wydać z siebie głosu. Trzęsę się tylko cała, jak w ataku febry. Nie ruszamy się z miejsca i czekamy, aż się cokolwiek uspokoi. Nie rozumiemy, dlaczego ci ludzie otworzyli ogień, przecież nic nie widać w tej mgle. Oberwać można było tylko przypadkiem.

Niespodziewanie czuję lekki powiew wiatru. Skulone, siedzimy dalej w naszym kąciku, bo cały czas w pobliżu kręcą się jacyś ludzie, z pewnością w złych zamiarach. Czas wolno mija, a wiatr staje się coraz silniejszy i rwie mgłę na strzępy. Nad nami ukazuje się czyste niebo i gwiazdy. Wzrok z wolna przyzwyczajają się do ciemności. Widzimy przed sobą jakby niewielki park i wysokie

drzewa. Ponad nimi wznosi się w górę jakiś smukły ciemny kształt.

Mama chwyta mnie w ramiona i całuje.

- Patrz, córuniu! - woła radośnie. - To wieża kościoła!

O, dzięki Ci Boże! Kamień spada nam z serca, bo naprzeciwko kościoła stoi dom Frau W. Jesteśmy uratowane. Przez cały czas błąkałyśmy się w pobliżu kościoła, lecz ze względu na gęstą mgłę wcale go nie widziałyśmy.. Chyłkiem wymykamy się z naszej kryjówki i biegniemy w kierunku zbawczego kościoła. Ale nasza radość jest przedwczesna, za nami ukazuje się grupa pijanych żołnierzy radzieckich. Zobaczyli nas i wołają, żebyśmy się zatrzymały. Prędko zbiegamy po przykościelnych schodach i resztką sił dopadamy domu. Pokonujemy kilka schodków i stanąwszy pod bramą, walimy pięściami w zamknięte drzwi, wołając Frau W. aby nas wpuściła do środka. Na parterze, w oknach mieszkania lekarki widać światło, choć okna przysłonięte są gęstymi kotarami. Kiedy pukamy, światło natychmiast gaśnie. Wołamy, kopujemy w drzwi, ale nikt nie otwiera. Natomiast pijani prześladowcy są już bardzo blisko i biada nam, jeśli wpadniemy im w łapy. Niemka wyraźnie nie chce nas wpuścić i cały dom robi wrażenie wymarłego, choć wiemy, że są tam ludzie.

Kolana mam pozbijane do krwi, a szalony strach podnosi nam włosy na głowach. Wrzeszczymy, całym ciężarem ciała rzucając się na te przeklęte drzwi i jak wystrzelone z procy wpadamy do sieni. Stajemy zaskoczone i kompletnie oszołomione. Frau W. niewzruszenie spokojna, starannie rygluje bramę. Mama zduszonym z wściekłości głosem pyta, dlaczego tak długo musiałyśmy czekać na otwarcie bramy?

- Długo? Ależ otworzyłam zaraz, jak tylko usłyszałam pukanie. Spałam, a sen mam mocny.- odpowiada Niemka robiąc zdumioną minę.

Stoi przed nami kompletnie ubrana, w turbanie na zaondulowanych włosach i w bucikach na nogach. Naraz robi mi się niedobrze. Mam zawroty głowy i jestem do niczego. Słabo mi ze zmęczenia i głodu, ale również z dziwnego zapachu unoszącego się w całym domu. Mama marszczy brwi i krzywi się z obrzydzeniem. Eter! Po co komuś eter? Szczęśliwie pijani żołnierze poszli sobie dalej, zadowoliliwszy się paroma kopnięciami w bramę. Może powstrzymały ich dwujęzyczne tablice głoszące, że są tu kwatery oficerów? Nie wiem. Zapach eteru dotarł aż na piętro i mama otworzyła okno, aby porządnie wywietrzyć pokój. Stoję przy niej i wdycham głęboko chłodne, czyste powietrze.

Najwyższy czas na kolację. Biorę czajnik i idę do kuchni, żeby zagotować wodę na herbatę. Dopiero teraz czuję jakie mam pragnienie, język suchy jak wiór i obolałe gardło. Otwieram drzwi i wchodzę do kuchni, ale na progu zatrzymuję się jak wryta. W kuchni, niewielkiej i długiej jak szuflada, jest pełno mężczyzn. Potężne chłopcy stoją pod ścianami, cudacznie poubierani. Do mundurowej kurtki, cywilne spodnie, lub na odwrót. Na głowach mają czapki nasunięte na oczy, a na nogach ciężkie, z pewnością wojskowe buty, mocno zabłocone. Jest dość ciemno i nie mogę się zorientować ilu ich tu jest. Boję się im dokładnie przypatrywać, bo oni obserwują mnie z zaskoczonymi minami. Widać nie spodziewali się nikogo obcego. Ten ich złowrogi bezruch i zimny, nieruchomy wzrok sprawia, że ogarnia mnie przerażenie. Stoję między nimi, taka mała i bezbronna. Wystarczy jeden chwyt za gardło, żeby zdusić mnie jak kurczaka.

Jestem sześciolatkiem, ale mam za sobą okupacyjne doświadczenie. Wiem, że nie wolno mi okazać strachu i dać im do zrozumienia, że widzę coś osobliwego. Udaję więc, że wcale nie zwróciłam na nich uwagi i drżącymi wargami uśmiecham się do zmieszanej Frau W. Grzecznie dygam i mówię układowo:

- Guten Abend.

Gospodyni patrzy na mnie, jak na zjawę nie z tego świata. Podaję jej czajnik i proszę o gorącą wodę. Niemka odwzajemnia się wymuszonym grymasem, imitującym uśmiech.

- O, Fraulein Elza! Woda zaraz zakipi.

Czekam udając, że nic ciekawego nie widzę. Gospodyni krzywi się do mnie, a ja do niej w fałszywym uśmiechu i obie robimy dobre miny do bardzo złej zabawy. No, nareszcie! Woda kipi,

więc biorę czajnik, ponownie grzecznie dygam i kieruję się ku drzwiom. Mężczyźni ustawili się pod ścianami w milczący dwuszereg, muszę przejść między nimi. Idę tym szpalerem, życząc gospodyni dobrej nocy. Cały czas czuję na sobie wzrok tych mężczyzn i ciarki biegają mi po kręgosłupie. Spokojnie wchodzę do pokoju i wręczam mamie czajnik, a potem cała rozdygotana napiętymi do ostatka nerwami, rzucam się z płaczem na łóżko i opowiadam mamie o nowej przygodzie. Na nieszczęście, mama przyzwyczajona do mojej zbyt wybujałej wyobraźni, nie daje mi wiary i bagatelizuje moją relację. Oburzona taką niesprawiedliwością, upieram się, żeby sama poszła do kuchni i przekonała się na własne oczy, że powiedziałam prawdę. Mama patrzy na mnie przeciągle i wreszcie zgadza się iść ostrzegając, że za kłamstwo zostaną ukarani. Bierze pusty już czajnik i idzie do kuchni, żeby go oddać. Czekam spokojnie, pewna tego, co widziałam. Po chwili wraca mama. Rozgniewana, daje mi mocnego klapsa, każe zjeść kolację i zaraz pójść do łóżka.

- Czy zależy ci na tym, żeby mnie denerwować? Dlaczego kłamiesz, przecież w kuchni nie ma nikogo, a Frau W. już w szlafroku i idzie spać! - woła ze złością.

Jestem ogromnie rozżalona, bo mówiłam prawdę, nic nie koloryzując. Spłakana, głodna i obrażona, odmawiam zjedzenia kolacji i wypiwszy tylko herbatę, kładę się do łóżka. Ale nie mogę zapomnieć o tym, co widziałam i zastanawiam się, kim byli ci mężczyźni i co robili w mieszkaniu gospodyni? Wzdycham stwierdzając, że ten dom doprawdy jest bardzo tajemniczy. Zasypiam w końcu dręczona lękiem i budzę się rano z dosyć wysoką gorączką na tle nerwowym. Te ostatnie dramatyczne przeżycia wyraźnie mi nie służą. Mama złagodniała i jest dla mnie bardzo czuła, a nawet próbuje mnie ponownie wypytywać, ale ja zacinam się i milczę.

Dni płyną jeden za drugim, monotonne i nudne. W obawie nowej, niefortunnej przygody, nie wychodzimy z domu po zmierzchu. Obie nie czujemy się dobrze, przyzwyczajone do kontynentalnego klimatu Małopolski. Miasto leży w głębokiej niecce, od południa zasłonięte przez masyw Karkonoszy, które zatrzymują ciepłe wiatry. Ziemia tu jest bardzo bogata w złoża miedzi, lecz samo miasto leżące na bagnistym terenie, w pobliżu puszczy wodnej, nie jest zdrowe, bo brak tu jodu. Stąd często występujące tutaj choroby serca, żołądka, tarczycy i reumatyzm. Dokuczają nam także bezczynność i marzymy o pozbyciu się opieki gospodyni. Stwierdziłyśmy, że znajdujemy się pod dyskretną, lecz ciągłą obserwacją, a Frau W. nie spuszcza z nas oka.

Pewnego dnia mamy okazję poznać naszego sąsiada z frontowego pokoju. Oficer radziecki jest bardzo przystojny i kulturalny. Nosi się elegancko, a jego czystość jest aż przesadna. Frau W. narzeka do mamy, że pan oficer codziennie zmienia koszule, a ona musi je prać. Rosjanin z zawodu jest artystą malarzem, a z jego półsłówek domyśliłyśmy się, że pochodzi z dobrej, inteligentnej rodziny. Jest wykształcony i mówi biegle po niemiecku. Ponieważ nie znamy języka rosyjskiego, rozmawia z nami po niemiecku. Oficer rzadko przebywa w domu, a my cieszymy się, że mamy takiego miłego sąsiada, bo obawiałyśmy się, iż będzie to jakiś cham i pijanica.

Na moje imieniny przypadające 19 listopada, spotyka nas przemiła niespodzianka. Przyjechał tatuś! Wpadł dosłownie na jeden dzień, żeby złożyć mi życzenia i wręczyć prezenty. Dostałam dużą, piękną lalkę i wózek dla niej tak obszerny, że od biedy sama mogę się w nim zmieścić. Natychmiast poczułyśmy się pewniej, tym bardziej, że ojciec obiecał zaraz po powrocie zająć się wyszukaniem dla nas wygodnego mieszkania. Cudownie!

- Och, jak dobrze! - zawołałam z entuzjazmem. - Zamieszkamy w jakiejś ładnej willi, prawda?

- Tak, kochanie. A na drugi dzień rodacy wyprawiają wam uroczysty pogrzeb! - oświadczył ojciec, z miejsca mnie gasząc. - Zamieszkamy w budynku obok RUK, bo tylko tam będziecie z mamą bezpieczne.

Poczułam się strasznie rozczarowana, ale ojciec wiedział, co mówi. Były to o tyle szczęśliwe czasy, że nikomu nie śniły się problemy z brakiem mieszkań. Zupełnie pustych domów było o wiele więcej, niż chętnych do zamieszkania. Na wieść o zbliżaniu się Armii Czerwonej, Niemcy w szalonym popłochu opuszczali miasto, pozostawiając meble, odzież w szafach i cały sprzęt gospodarski. Podobnie obawiali się wojsk polskich. Wiedzieli, że Rosjanie nigdy nie

zapomną im potworności konającego z głodu Leningradu, tragedii Stalingradu, palonych wsi i miast rosyjskich. Podobnie Polacy nie darują im Warszawy, klęski 1939 roku i dramatycznych lat okupacji. Im więcej ktoś z Niemców miał na sumieniu, w tym większym popłochu uciekał. Osadnik mógł sobie wybrać dowolną miejscowość, dom, czy okolicę, według gustu. Tylko o losie oficerów i żołnierzy decydował rozkaz.

Ale ta pozorna sielanka miała swoje bardzo ciemne strony. W tym czasie nikt z nas nie był pewien życia. Ludzie starali się osiadać blisko siebie, ażeby w razie potrzeby spieszyć sobie z pomocą. Cóż z tego, że zajmiemy jakąś willę, nawet z pełnym umeblowaniem? Jesteśmy z mamą same, bo ojciec przebywa całymi tygodniami w terenie z komisją poborową i nie jest w stanie opiekować się nami. Samotna młoda kobieta i dziecko, to wprost zachęta dla złoczyńców. Przyjdą w nocy, obrabują nas, zgwałcą i zabiją... Nie, nie warto upierać się przy zamieszkaniu w willi. Z żalem rezygnuję z marzenia o własnym domu. Okazało się, że istniała jeszcze inna możliwość urządzenia się wygodnie. Pewnego dnia, odwiedził nas urzędnik z wydziału kwaterunkowego i powiedział, że nie musimy wcale się wyprowadzać. Okoliczność, że w czasie wojny straciliśmy całe mienie, upoważnia nas do zajęcia poniemieckiego mieszkania z pełnym umeblowaniem. Mamy więc legalne prawo zająć pół domu Frau W. która otrzyma mieszkanie zastępcze, do chwili repatriacji do Heimatu.

Mama wysłuchawszy urzędnika z uwagą, powiedziała krótko i stanowczo:

- Nie!

- Co pani robi najlepszego? - zdziwił się urzędnik. - Dlaczego nie? Przecież nie dzieje się Niemcom krzywda. To tylko sprawiedliwość dziejowa. To oni rozpoczęli tę szaleńczą wojnę i dziś ponoszą konsekwencje. Czy pani wyobraża sobie, jak na pani miejscu zachowałby się Niemiec w czasie okupacji?

- Owszem.- powiedziała mama z gorzkim uśmiechem. - Rodzina na kresach wschodnich miała piękny dom i ziemię. Ostrzeżeni w porę, musieli się natychmiast ewakuować, bo groził im Sybir. Moja siostra w Poznaniu, posiadała piękne mieszkanie, które spodobało się gestapowcowi. Otrzymała dwie godziny na usunięcie się z zajmowanego mieszkania, pozostawiając w nim wszystko. Mieli prawo wziąć z sobą jedną walizkę. Nic więcej! Nasz dom rodzinny runął pod bombami, a moje śliczne mieszkanie w Cytadeli Poznańskiej, zostało zrównane z ziemią. To mało?

Urzędnik upierał się twierdząc, że mieszkanie Frau W. jest komfortowe i będzie nam tu wygodniej, niż w budynku obok RKU, gdzie nie ma takich wygód. Ale mama nie dała się przekonać.

- Nie zamierzam być w niczym podobna do Niemców, bo wiem, co czuje człowiek tracący dorobek całego życia. Poradzimy sobie bez ludzkiej krzywdy.

Urzędnik potrząsnął z podziwem głową, a przy pożegnaniu ucałował obie ręce mamy.

Prawdę powiedziawszy byliśmy bardzo naiwni i nieżyczliwi, bo nawet Niemcy dziwili się mamie, że nie zamierzała skorzystać z okazji. Frau W. sama namawiała nas do zajęcia mieszkania uważając, że na tym skorzysta, bo będzie mogła wynieść stamtąd cenniejsze rzeczy, odzież i pościel. Inny lokator z pewnością nie będzie tak wielkoduszny, (naiwny) i nie pozwoli jej wziąć nawet jednego garnka. Lecz mama nawet słuchać o tym nie chciała. Inni nie mieli takich skrupułów i bez namysłu osiedlali się w luksusowych willach, mieszkając w nich, lub wywożąc całe wagony pięknych mebli, obrazy, kryształy, porcelanę, antyki z ograbionych pałaców i zamków, między innymi z zamku w Kliczkowie. Dorabiali się na tym szabrze majątków, sprzedając wszystko w Centralnej Polsce. Duże, doskonale zorganizowane bandy, buszowały po pałacach, zamkach i kościołach, w poszukiwaniu dzieł sztuki, wywożonych potem za granicę. Przed Polakami byli Rosjanie, a czego nie mogli wywieźć, barbarzyńsko niszczyli.

Na przenosiny do nowego mieszkania, czekałyśmy jeszcze dosyć długo. Po wyjeździe ojca, dni upływały jednostajnie. Ja nadal bawiłam się z synami gospodyni i uczyłam ich po polsku, a oni mnie po niemiecku. Wspólnie objadaliśmy się słodyczami przywiezionymi przez ojca i tylko ci dwaj chłopcy byli nam życzliwi i zadowoleni z naszej obecności. Reszta mieszkańców zaledwie nas

tolerowała. Kobiety z rodziny Frau W. mówiły nam przy spotkaniu „Gut Morgen” i na tym kończyły się nasze wzajemne korelacje.

Pewnego dnia, mamę rozbolała głowa i powróciwszy z obiadu, położyła się do łóżka. Ja z chłopcami zabawiałam się w chowanego. Goniliśmy się po całym domu, wpadając po kolei do wszystkich pokoi. Widząc, że obaj chłopcy mnie doganiają, zbiegłam po schodach i przycisnąłam się koło drzwi mieszkania pani doktor Daum. Frau Arztin, rzadko bywała w domu i widziałyśmy ją wszystkiego coś trzy razy. Zaledwie kiwnęła nam nosem. Usłyszałam, jak chłopcy na palcach schodzą po schodach chcąc mnie przyłapać, więc odruchowo nacisnęłam klamkę i wpadłam do przedpokoju, a potem z rozpędu do gabinetu lekarki.

To, co tam zobaczyłam sprawiło, że momentalnie zapomniałam o zabawie i nawet nie zauważyłam, że chłopcy dogonili mnie i stanęli za moimi plecami nagle uciszeni. Duży biały pokój z przysłoniętymi prześcieradłem oknami, pełen był półnagich mężczyzn, przeważnie młodych i dobrze zbudowanych. Ich złe, zacięte twarze natychmiast przypomniały mi scenę widzianą w kuchni. Wszyscy rozebrani byli do połowy ciała i stali jeden za drugim w zupełnej ciszy. Lekarka robiła im jakiś zabieg, pod podniesionym ramieniem. W całym pokoju unosił się mdlący, słodkawy zapach eteru, który nie wietrzył, pomimo uchylonych drzwi do kuchni i otwartego tam okna. To wszystko dostrzegłam jednym rzutem oka. Pozornie nic w tym obrazie nie było przerażającego. Ot, lekarka i pacjenci. A jednak stałam jak wmurowana i czułam wprost paraliżujący strach. Moje wtargnięcie zostało zauważone i mężczyźni zwrócili ku mnie twarze. Doktor Daum kompletnie zaskoczona, odwróciła się, trzymając w dłoni jakiś przyrząd lekarski. Wzrok tych stojących bez ruchu mężczyzn, wyrażał taką nienawiść i groźbę, że nie miałam wątpliwości, iż zobaczyłam coś, czego nie powinny ujrzeć oczy żadnego Polaka. Przez moment wszyscy przypominaliśmy aktorów w zatrzymanym kadrze filmowym. Naraz jeden z Niemców uczynił taki ruch, jakby zamierzał chwycić mnie za ramię. Wrzasnęłam wniebogłosy, odepchnęłam stojących mi na drodze chłopców i dałam szalonego drapak! Na schodach obejrzałam się, czy ktoś mnie nie goni i kątem oka dostrzegłam lekarzkę, jak ująwszy obu chłopców za kołnierze, wyrzuciła ich na korytarz, zamykając z hukiem drzwi.

Wpółprzymiotna ze strachu, wpadłam do naszego pokoju, budząc mamę z drzemki. Na wszelki wypadek zamknęłam wszystkie drzwi na klucz, błagając mamę, żeby nikomu nie otwierała. Mama słuchając mego chaotycznego opowiadania, przez jakiś czas nie mogła zrozumieć, o co mi chodzi i czego się przelękałam. Próbowwała mnie uspokoić mówiąc, że zobaczyłam u lekarza normalnych pacjentów. Aha! Wiedziałam swoje. To nie byli chorzy ludzie. Niechcący zobaczyłam zdrowych mężczyzn, którym niemiecka lekarka wykonywała jakieś zabiegi, być może niedozwolone. Świadczyły o tym środki ostrożności, cisza, przysłonięte okna, a przede wszystkim ich miny i spojrzenia, pełne zajadłej wrogości, jakimi mnie mierzyli. Prawdopodobnie widziani przeze mnie mężczyźni w kuchni, również byli przedtem u lekarki, a dziś ktoś zapomniał zamknąć drzwi na klucz. Prawdopodobnie wiedzieli, że byłam córką oficera i wpadłam do gabinetu razem z synami gospodyni. W przeciwnym razie mogłabym stamtąd żywa nie wyjść. Zaraz po wojnie ginęło bez śladu mnóstwo dzieci. Mój ośmioletni brat cioteczny Jędrus, wyszedł w Poznaniu z domu i nigdy więcej nie wrócił. Przepadł bez śladu, jak kamień rzucony w wodę.

Tego dnia nie wychyliłam już nosa z pokoju, chodząc za mamą krok w krok. Wprawdzie nie niepokojącego nie zaszło, dopiero wieczorem zapukała Frau W. i z kwaśną miną poprosiła mamę, aby dopilnowała, żebym nie biegała po domu i nie wchodziła do gabinetu lekarskiego, bo pani doktor skarży się, że przeszkadzam jej i denerwuję chorych. Oj, żebym się tak panicznie nie bała, to parsknęłabym jej śmiechem w nos. „Chorzy” wyglądali jak banda Ali Baby! Po wyjściu gospodyni, mama zaczęła robić mi wymówki i prawić morały na temat dobrego zachowania w obcym domu. Byłam już opanowana i ponownie, że szczegółami, opowiedziałam o całym wydarzeniu, przypominając o scenie w kuchni. Tym razem mama mi uwierzyła, przestraszyła się i zabroniła oddalać się z pokoju. Wieczorem, idąc z mamą do łazienki, przelotnie widziałam Hansa i Fritza. Mieli czerwone policzki, ze śladami mocnych uderzeń i załzawione oczy. Wyobraziłam sobie, jakie

lanie dostali za mnie i bardzo im współczułam. Od tego dnia zaczęli mnie unikać, widocznie zakazano im bawić się ze mną.

Przeczulone, często budziłyśmy się w nocy, słysząc na schodach ciężkie kroki i prowadzone szeptem rozmowy. Kilka razy widziałyśmy młodych mężczyzn ukradkiem wchodzących do gabinetu lekarki, a zapach eteru po prostu nas prześladował. Mama o nic nie pytała gospodyni i obie udawałyśmy, że niczego się nie domyślamy. Było mi bardzo smutno, bo znowu nie miałam się z kim bawić. Lubiłam chłopców, byli tacy sympatyczni....

Ojciec powrócił na początku grudnia i natychmiast odbyła się przeprowadzka. Szalałam z radości! Wraz z pojawieniem się ojca, tajemniczy mężczyźni zniknęli jak kamfora, a w gabinecie lekarskim siedziały zakatarzone babulki. Zastanawiałyśmy się z mamą, dlaczego Niemcy wcale nie krępowali się oficera radzieckiego, który bywał u Frau W. częstym gościem. Kilka razy widziałam go nawet w towarzystwie doktor Daum.

Pewnego grudniowego dnia, zajechał przed dom wojskowy samochód i dwóch żołnierzy pomogło nam załadować nasz mizerny dobytek. Frau W, stała w drzwiach, odprowadzając nas czujnym spojrzeniem, chłopców już nie widziałam. Nasze nowe mieszkanie znajdowało się na drugim piętrze kamienicy przy ulicy Polnej 8. Byliśmy pierwszymi lokatorami, bo na dole mieszkał chwilowo tylko stróż. Ze względów bezpieczeństwa, brama od strony ulicy Polnej była zamknięta na klucz, zawalone workami z piaskiem i drutami kolczastymi. Wchodziliśmy od ulicy Chrobrego, przez bramę dzień i noc strzeżoną przez uzbrojonych wartowników. Inny wartownik chodził po całym terenie wokół RKU. Budynek otaczały ogrody i drzewa owocowe. Na miejscu dzisiejszej Odlewni, znajdował się śliczny ogród, pełen drzew morelowych, orzechowych, wiśni, krzaczków porzeczek i agrestu. Usytuowany pomiędzy murami, zaciszny, i niewidoczny z zewnątrz, stał się potem ulubionym miejscem zabaw dzieciarni z naszej kamienicy.

Żołnierze wnieśli na piętro nasze rzeczy, a mama przestrzegła, żeby pierwszej pościeli nie wnosili, bo to murowany pech. Rozglądnęłam się ciekawie po naszym nowym domu. Przedpokój był długi, a z niego wchodziło się do trzech dużych, jasnych pokoi. Z przytulnej kuchni drzwi wiodły na wielki balkon. Jest nawet spora spiżarnia. No nieźle, choć nie jest to mój wymarzony własny dom, jak w Rzeszowie stojący w dużym ogrodzie. Ale w tym budynku będziemy bezpieczni i to ma dla nas wielkie znaczenie. Mama głośno planuje, co gdzie ustawi. W pokoju od ulicy, posiadającym piękną granatową tapetę w złote kłosa, będzie gabinet ojca. W drugim pokoju, również od ulicy, jadalnia. Trzeci pokój jest mniejszy, z oknem wychodzącym na balkon i ten będzie sypialnią.

Dzień przeprowadzki jest mroźny i pochmurny, więc mieszkanie sprawiało dosyć ponure wrażenie. Mama pociesza siebie i mnie, że kiedy w oknach zawisną koronkowe firanki, a w pokojach staną meble, będzie tu zupełnie przyjemnie. Brakuje nam wielu rzeczy pozostawionych w Katowicach. Ojciec obiecuje, że za kilka dni żołnierze wracający z urlopu, przywiozą nam resztę rzeczy. Na razie ojciec wypożyczył z magazynu koce i składane łóżka. Po pustych pokojach kręcą się wynajęte Niemki sprzątaczk. Mieszkanie jest bardzo zagracone i zaśmiecone i należy je dokładnie wysprzątać, wyszorować i zapastować podłogi, umyć okna i tak dalej.

Ojciec służbista, pozostawił nas na nowym gospodarstwie i poszedł do RKU. Jak większość Wielkopolanek, mama jest wielką czystochłą i trudno jej dogodzić. Niemki nie przepracowały się zanadto i pozostało jeszcze wiele do zrobienia. Wchodzimy do pokoju, w którym ma być gabinet ojca. Na środku widzimy dużą stertę odzieży damskiej i męskiej. Nie rozumiemy, dlaczego sprzątaczk przerwały pracę i przypatrują się nam badawczo. Wolno podchodzimy do stosu odzieży i naraz cofamy się z przerażeniem. Na samym wierzchu, celowo położona w ten sposób, żeby była widoczna na pierwszy rzut oka, leży męska biała koszula z wlotem po kuli po lewej stronie, cała zalana szerniałą już dawno krwią.

Niemki mają niewątpliwie satysfakcję – jesteśmy wstrząśnięte tym strasznym widokiem. Mama blada jak kreda z trudem przełyka ślinę. Ja mam mdłości i nogi uginają mi się w kolanach. Trwa to tylko chwilę, bo mama prędko potrafi się opanować i pyta ostro Niemki, dlaczego nie

uprzętnęły tych szmat? Jedna ze sprzątaczek, bezczelne, grube babsko, wpatruje się w nas z urągliwym uśmiechem.

- To zupełnie dobre rzeczy i mogą się pani przydać. - powiada, z zaledwie ukrywaną drwiną.

Widzę, że mama zaciska zęby i wyraźnie jest wyprowadzona z równowagi bezczelnością sprzątaczkki. Gdyby nie dobre wychowanie, uderzyłaby Niemkę w gębę. Ostrem tonem poleca sprzątaczkom wynieść z mieszkania te szmaty. Niemki celowo ociągają się z wyniesieniem tej strasznej koszuli. A gruba sprzątaczkka pyta przesadnie zatroskanym tonem, czym ma wyczyścić plamy na podłodze? Rzeczywiście, podłoga pod oknem pokryta jest ciemnymi plamami. Krew wsiąkła w deski i już niczym nie można jej doczyścić.

Fatalna wróżba.

Mama zwraca się do Niemek i świetną, literacką niemczyzną mówi tak szybko, że ja zrozumiałam jedynie kilka słów:

- Przez lata waszej okupacji, przyzwyczailiśmy się do widoku krwi. Nie potrzebujemy waszej odzieży, noście ją sami, tak, jak nosiliście rzeczy pomordowanych Polaków i Żydów! Tu są pieniądze, wynoście się! Raus! Sofort⁸!

Gdyby to była okupacja, i to Niemcom sprzątaczkki urządziłyby podobny „kawał”, zostałyby na miejscu rozstrzelane. Po wyjściu kobiet, mama raz jeszcze myje źle wyczyszczone okna, a ja z niejaką trudnością rozpalam ogień w kuchni i grzeję wodę na kawę. Na szczęście wodociągi i elektrownia już pracują pełną parą.

Piszę te wspomnienia bez obłudy i stwierdzam z całą stanowczością, że mieszkanie na ulicy Polnej 8, m 5, okazało się bardzo pechowe. Mieszkaliśmy tam sześć lat i bez przerwy nękały nas ciężkie, niemal śmiertelne choroby. Dla badacza zjawisk paranormalnych, nasze mieszkanie byłoby wspaniałym polem do pracy. Jestem osobą usposobioną bardzo sceptycznie i raczej w duchy nie wierzę. Ale wtedy byłam naocznym świadkiem czegoś, co nie da się wyjaśnić w sposób racjonalny i logiczny. Przez długi czas widywaliśmy światło nagle świecące się we wszystkich pokojach. W nocy słyszeliśmy kroki w przedpokoju i gabinecie, chociaż mieszkanie było dokładnie zamknięte na dwa zamki i łańcuch. Ojciec wiele razy wychodził do przedpokoju, aby zbadać, czy ktoś się nie włamał, bo mieszkaliśmy w budynku sami, ale nikogo nie było. Najgorzej się bałam, gdy ojciec wyjeżdżał w teren i zostawaliśmy z mamą same. O, wtedy to było naprawdę strasznie. Jak tylko zapadła noc, wpraszałam się do łóżka mamy i razem czuwałyśmy, modląc się i czekając, aż znowu zapalą się światła, a w przedpokoju rozlegną się ciężkie kroki, zatrzymujące się pod drzwiami naszej sypialni. Nie jest to moja konfabulacja, bo tak było naprawdę! Dostałam silnej nerwicy, nasze mieszkanie na prośbę mamy, dwukrotnie poświęcił ksiądz proboszcz Gromadzki, który nas bardzo lubił i często u nas gościł, jednak nic to nie pomogło. Straszło aż do dnia naszej wyprowadzki w 1951 roku.. A swoją drogą, chciałabym porozmawiać z obecnymi lokatorami tego mieszkania i spytać, czy dobrze się tam czują?

Wigilia 1945 roku.

Pierwsza wigilia po zakończeniu wojny. Nie mamy choinki, nie będzie tradycyjnego barszczu z uszkami, smażonego karpia i innych przysmaków wigilijnych. Zima tego roku jest mroźna i śnieżna. Wielki całun pokrył ruiny miasta i miłosiernie otulił poranione drzewa. Pogoda jest prawdziwie gwiazdkowa. Jest bardzo zimno i od rana palimy w piecach. Jadalnia nie jest jeszcze umeblowana, więc wigilijną kolację będziemy jedli w gabinecie ojca. Na tę pierwszą w pookupacyjnej Polsce Wieczerzę na własnych śmieciach, mama ugotowała zupę grochową, a karpia zastępuje twardy jak podeszwa dorsz. Są też kotlety mielone z solonego śledzia i ciastka amoniaczki. Kto tego nie jadł, niech dziękuje Bogu, był to nasz pionierski przysmak! W mieszkaniu brakuje jeszcze mebli, lecz w każdym pokoju świecą się lampy, a w oknach wiszą koronkowe

8 Raus! - Precz! Sofort! - Natychmiast!

firanki, które nam przywieźli żołnierze z Rzeszowa, wraz z rzeczami pozostawionymi u cioci w Katowicach i rozpaczliwym listem dziadków, którzy dopiero od żołnierzy dowiedzieli się co nieco, jak tu żyjemy. W Rzeszowie opowiadano sobie o bogactwach, jakie są na Ziemiach Odzyskanych, gdzie nawet prosty parobek mieszka, jak dawniej pan hrabia! To również była tylko część prawdy, ale moi rodzice byli zbyt uczciwi i honorowi, żeby bogacić się szabrem z poniemieckich domów.

Tego, co utraciliśmy na kresach wschodnich i w Poznaniu, nigdy nie odzyskamy. Jednak mama uparcie stara się stworzyć nam w miarę normalny dom. Jej delikatne ręce pokryte są strupami i rankami po zardzewiałych gwoździach i szkle, a przecież pamiętam, że były takie białe i piękne. Za to podłogi lśnią jak lustra i w każdym kątku jest niemal sterylnie czysto.

W gabinecie ojca stoi pianino. Siedzę przy nim i nieśmiało uderzam po klawiszach, chcąc zagrać kolędę: "W żłobie leży". Ojciec zaprosił na wigilię samotnego kolegę oficera, który pozostawił rodzinę w Małopolsce. Podchodzę do okna i wypatruję pierwszej gwiazdki. Niestety, niebo jest pokryte chmurami, z których padają wielkie płatki śniegu. Zasiadamy do stołu nakrytego białym adamaszkowym obrusem. Mama, jako pani domu, jest nieco zawstydzona tak skromnym menu, ale wiadomo, że są to dopiero pionierskie początki. Nie mamy opłatka, więc dzielimy się chlebem, życząc sobie wzajemnie szczęścia w powojennej Polsce. Nie ma czym wznieść toastu, bo brakuje wina. Po wigilii ojciec zasiada do pianina. Głośno śpiewamy „Bóg się rodzi”, a rodzice mają w oczach łzy. Wspominają tych, którzy zostali zmieceni wojennym huraganem. Myślimy o wuju, dziennikarzu krakowskiego „Kuriera”, zamordowanym w Katyniu i o wojskowych kolegach ojca, spoczywających w katyńskich masowych mogiłach. Smucimy się, że nigdy nie zasiądą do Wieczerzy przyjaciele ojca z AK, zastrzeleni przez Niemców w Zamku Lubomirskich w Rzeszowie, oraz wspominamy cudownych, wspaniałych chłopców, zamordowanych tamże przez Urząd Bezpieczeństwa. Przywołujemy w myślach wuja, zestrzelonego nad Londynem w „Bitwie o Anglię”. Był pilotem samolotu myśliwskiego i został ciężko ranny, ratował się skokiem z płonącej maszyny. Na szczęście przeżył, a niedawno ciocia, jego żona, przekradła się do niego przez „zieloną granicę” i już są w Anglii razem. Mama ze wzruszeniem wspomina panią Retmanową, naszą sympatyczną krawcową, zabita wraz z całą rodziną w drodze do getta.

Mój Boże, tyle osób, tyle twarzy, gestów, uśmiechów...

Kiedy tak siedzimy, zatopieni we wspomnieniach, ktoś nieśmiało puka do drzwi. Ojciec na wszelki wypadek wyjmuje pistolet i idzie otworzyć, bo nigdy nic nie wiadomo. Ale to tylko nasi żołnierze przyszli nam złożyć życzenia i chociaż na chwile odetchnąć domową atmosferą. Mama gościnnie częstuje ich, czym chata bogata, a oni wnoszą beztrudny nastrój, humor i dokazują ze mną. Na Pasterkę nie idziemy, bo ojciec ma dyżur, zresztą w kościele nie ma jeszcze polskiego księdza, a o niemieckim proboszczu słyszeliśmy bardzo niemiłe rzeczy.

Zbliża się Sylwester i Nowy Rok. Pomimo wielu braków i niedostatku, mama postanowiła urządzić przyjęcie. Wieczorem spodziewamy się gości, bo przyjdą koledzy ojca z RKU i na pewno żołnierze, zwabieni kulinarnymi zdolnościami mamy oraz jej urodą! Chłopcy przychodzą do nas przy każdej okazji wiedząc, że zawsze znajdzie się dla nich jakiś smaczny kąsek. W rewanżu, skądś wytrzasnęli białego sera, kilka kilogramów ziemniaków i słoninę na pierogi. Och, będzie ucztą! W Sylwestra, mama od wczesnego rana jest na nogach i krząta się po mieszkaniu. Wieczorem jest wykończona, ale mieszkanie dosłownie lśni czystością. Ja z przejęciem oczekuję północy, bo ojciec przyrzekł, że pozwoli mi wystrzelić na wiwat z karabinu! Tego roku zima jest bardzo śnieżna, gdybym miała sanki, urządziłabym sobie świetną zabawę na podwórku, lecz moje sanki zostały w Rzeszowie. Chodzę więc za mamą i zanudzam ją pytaniami, kiedy nareszcie będzie ta północ?

Wraz z zapadnięciem zmroku, zaczynają schodzić się goście. Ktoś przyniósł patefon i stare płyty. Po wszystkich pokojach rozlega się głos pana Fogga i jego: "Tulipany". Są też jakieś sentymentalne przedwojenne tanga i płyty niemieckie. Mama jest w tym męskim towarzystwie jedyną dorosłą kobietą i musi tańczyć ze wszystkimi panami. Na szczęście uwielbia taniec i nikomu nie daje kosza. Sierżant prowiantowy, który tak pocziwie dożywił mnie czekoladą, w braku innej partnerki, prosi mnie do tańca. Wprawdzie mam niewiele ponad sześć lat, jednak tańczę

znakomicie, bo mama, wielbicielka baletu i tańca towarzyskiego, wpoila mi tę niełatwą sztukę. Tańcząc z niskim i okrągłutkim sierżantem, tworzymy pocieszoną parę, jak z pierwszych filmów Maxa Senetta. Wiem, że wyglądamy śmiesznie, ale wcale się tym nie przejmuję. Ojciec w drodze wyjątku, dolał mi do herbaty odrobinę wina, więc mam różowy humor i jestem gotowa bawić się, do białego rana. Po panu sierżancie zgłaszają się do mnie inni panowie i tańczą kawałek po kawałku. Zrobiłam furorę odtńczywszy brawurowo najmodniejszy taniec amerykański boogie woogie. Mój partner, młodziutki żołnierz, śliczny jak z obrazka, nie musiał się wysilać przerzucając mnie nad głową, więc po prostu fruwałam w powietrzu. Potem tańczyliśmy równie modnego swinga, przy którym należało rytmicznie przekładać nogi, raz lewą, raz prawą, oczywiście do taktu. Ćwiczyliśmy ten taniec z mamą siedząc na kanapie, a ojciec obserwując nasze wyczyny, znacząco pukał się w czoło. Ostatnią poleczkę tańczę z ojcem. Przelatujemy w tańcu przez wszystkie pokoje, podśpiewując z wielkiej radości:

- Oj, dziś, dziś, dana, dana!... - za mną leci mój długi warkocz i powiewają falbanki odświętnej sukienki.

Kolacja sylwestrowa, palce lizać! Na stole króluje ogromny półmisek pełen pierogów z serem i ze skwarkami, mniem, mniem! a mama jeszcze donosi z kuchni pachnące niebiańsko placki ziemniaczane i dzbanek śmietany. Dwaj młodzi żołnierze z pełnym poświęceniem tarli ziemniaki, co chwilę sycząc z bólu i dmuchając na starte do krwi palce. Za to placki są boskie! Wszyscy stwierdzają to jednogłośnie, ściskając bohaterom pościerane palce. Na deser jest placek z marmoladą, kilka butelek dobrego wina i prawdziwa kawa! Dla mnie pan sierżant przyniósł trzy tabliczki czekolady z UNRY. Niestety brakuje owoców, ale trudno. Zbliża się północ i wszyscy wychodzimy na duży balkon. Noc jest bardzo mroźna i roziskrzona gwiazdami. W gabinecie ojca duży stojący zegar majestatycznie wybija północ. Ojciec wręcza mi ciężki karabin i pokazuje, jak się naciska spust. Kiedy zegar wybija ostatnie uderzenie, ostrożnie pociągam cyngiel.

Huknęło, a siła odrzutu sprawia, że ja przewracam się w jedną stronę, a karabin pada drugą. Ojciec śmieje się i pociesza mnie, że zawsze musi być ten pierwszy raz, a człowiek uczy się na własnych błędach. Dokoła ogłuszający hałas, bo wszyscy strzelają! Żołnierze z karabinów, oficerowie z pistoletów, a kto nie ma broni, rzuca przepalone żarówki. Po niebie suną świetliste koraliki pocisków, czerwone, niebieskie, żółte, zielone....Błyskają rakiety, rozsypując się w górze w feerie barwnych ogni. Powietrze drży od wybuchów petard, dudni basem artyleria. Wszyscy rzucają się sobie w ramiona, całusy, życzenia, śmiechy i skrywane wzruszenie. Boże, koniec ostatniego roku wojny i siedmiu miesięcy ciężko wywalczonego pokoju.

- Oby nam się! Do siego roku!

Naraz słyszymy w pobliżu potężną detonację. Oj, coś się musiało stać! Może ktoś trafił w magazyn z amunicją? Wracamy do ciepłego pokoju, żeby wznieść toasty. Powoli zaczynają mi się kleić oczy, bo zmęczył mnie nadmiar wrażeń. Mama osobiście układa mnie w łóżeczku, całuje i wychodzi na palcach z pokoju. Leżę wygodnie, piec promieniuje ciepłem, a za oknem mroźna styczniowa noc. Pierwsza noc w nowym 1946 roku. „Oby ten rok był dla nas szczęśliwy.”- myślę, powoli zapadając w sen.

W Nowy Rok, zaraz po śniadaniu idziemy do kościoła. Na szczęście nie został zniszczony i właśnie odprawia się w nim nabożeństwo. W starych zabytkowych ławkach siedzą Niemcy i modlą się z wielkich czarnych książek. Ksiądz mówi kazanie po niemiecku. Przybyli na nabożeństwo Polacy, stają pod ścianami i dokoła pięknego ołtarza. Są to wojskowi z RKU i jednostki, jedni z rodzinami, inni sami, są nieliczni jeszcze polscy urzędnicy, pan burmistrz Kubik, kilku nauczycieli, mających otworzyć w mieście polską szkołę i chłopci w kozuchach. Pomimo mrozu zdjęli futrzane czapy i stoją z obnażonymi głowami. Czujemy się w świątyni dosyć obco, bo msza się kończy, a ksiądz intonuje jakąś pieśń, którą Niemcy zgodnie śpiewają, patrząc na nas spode łba. Pomimo znajomych, łacińskich słów liturgii, to nabożeństwo wydaje się nam jakieś dziwne. Msza wcale wiernych nie łączy, tylko jeszcze głębiej dzieli. Ksiądz przy ołtarzu szybko kończy pacierz i milknie, obserwując nas nieprzyjaznym wzrokiem. Jest to proboszcz katolickiej parafii ksiądz

Sauer. Nie stara się do nas zbliżyć. W świątyni zapada cisza.

Wtem od jednej z kolumn odrywa się stary chłop. Wolnym krokiem podchodzi do ołtarza, klęka i potężnym głosem, drżącym ze wzruszenia, zaczyna śpiewać:

Boże, coś Polskę przez tak liczne wieki.

W kościele konsternacja. Niemcy kręcą się w ławkach, niektórzy sykają, ksiądz staje w drodze do zakrystii i ma taka minę, jakby zamierzał wyprosić nas z kościoła. Sekunda ciszy i naraz wszyscy Polacy padają na kolana i śpiewają, a raczej krzyczą słowa pieśni, która przez sto dwadzieścia sześć lat zaborów, dawała nam nadzieję i siłę do przetrwania. Obok mnie klęczy jakaś kobieta w czerni. Splotła na piersi zniszczone ręce i śpiewa z uniesieniem, a po policzkach spływa jej strumień łez. Potem wspólnie śpiewamy polskie kolędy, bez organów, bo te zamilkły na dobre.

Wychodzimy z kościoła poruszeni i mocno zbratani. Nieznani ludzie podchodzą do nas, przedstawiają się i składają nam życzenia, zawieramy nowe znajomości. Jesteśmy tutaj jeszcze tak nieliczni, w morzu obcego żywiołu, iż musimy być solidarni wobec siebie. Niełatwo zaczyna się ten rok 1946. Wracając do domu, przechodzimy przez Rynek, koło ratusza i widzimy w połowie wieży, potężną dziurę po armatnim pocisku! To Rosjanie strzelili wczoraj na wivat z działa, prosto w ratusz! Wesołych świąt!

Wiosna tego roku przyszła dziwnie wcześnie, po mroźnej i śnieżnej zimie. Już w marcu biegałam po trawnikach w samych szortach, opalona jak cyganka. W ogrodzie rozkwiwały fiołki i tulipany, a drzewa są w pełni rozkwitu. Miasto ma o wiele ładniejszy wygląd, niż owego październikowego dnia, kiedy zmęczone i rozgoryczone wysiadliśmy z pociągu. Drzewa okryte młodą zielenią, maskują częściowo gruzy. A może po prostu, przyzwyczajaliśmy się już do tych ruin? To były twarde, prawdziwie pionierskie lata, życie pełne trosk i bezpardonowej walki z lawinowo piętrzącymi się zadaniami, często przerastającymi siły jednego pokolenia. Powoli przybywało nas Polaków. Codziennie na dworzec wjeżdżały długie transporty, przywożąc osadników z kresów wschodnich, Polaków z Francji i Anglii. Przybywali zesłańcy z Kazachstanu i Sybiru, bezprawnie i brutalnie wywiezieni z rodzinnej ziemi. Obciążeni strasznymi wspomnieniami, często pozostawiali tam, daleko, groby najbliższych i tutaj od nowa budowali swą egzystencję. Zaludniały się miasteczka i wsie, na puste dotąd pola nareszcie wyszły pługi orząc ziemię, a polscy chłopcy siali zboże na nowy, polski chleb.

Coraz prężniej działała polska administracja, władze miasta i urzędy. Ludzie pracowali z prawdziwym entuzjazmem, nie oglądając się na zapłatę, często za talerz zupy i kromkę chleba. Czasu nikt nie liczył, pracowało się dzień i noc. Chyba nigdy wcześniej, ani później, nasz naród nie pracował z tak szalonym pośpiechem i samozaparciem. Te pierwsze lata po wojnie, pozostały w mojej pamięci, jako coś wspaniałego, czas niesłychanego zapału i żarliwego poświęcenia. Tak wyglądała jedna, jasna strona medalu. Ale były też i bardzo mroczne strony tych lat. Narastający terror stalinowski powodował napięcia, konflikty międzyludzkie, groziła wojna domowa. Osławiony Urząd Bezpieczeństwa Publicznego budził paniczny strach, a ludzie zaczęli obawiać się denuncjacji. W Bolesławcu, pierwsza siedziba UB, mieściła się na ulicy Grunwaldzkiej, w pięknym zabytkowym budynku. W ogrodzie otaczającym budynek, stały zabawne poniemieckie krasnale. Pewnego dnia, przechodząc tamtędy z mamą, spostrzegłam je, i tak mi się te krasnale spodobały, że zatrzymałam się, aby się im przypatrzeć. Stojący przy bramie wartownik, ponury typ uzbrojony po zęby, łypnął na nas okiem spod hełmu i warknął:

- Wyoście się stąd!

Matka rzuciwszy okiem na tablicę zbladła i chwyciwszy mnie za rękę, w popłochu uciekła. Odtąd z daleka omijałyśmy dom z krasnalami. Złowroga rzeczywistość nie pasowała do bajkowych krasnoludków. W lecie przybyły nowe transporty, wioząc Polaków mieszkających w Jugosławii, uroczyste witanych na dworcu przez władze miasta. Byli tak mocno opaleni, że wydali mi się jakimiś przybyszami z egzotycznych krain. Przybiegłam z dworca do domu, bardzo podniecona, wołając:

- Mamusiu, Murzynki przyjechały!

Miasto otaczały gęste lasy, a w nich toczyły się walki wojska i milicji z partyzantami Werwofu, oraz bandami napadającymi na polskie wsie i transporty z żywnością. Pewnego razu zorganizowano wielką obławę na bandytów, w której udział wzięli oficerowie RKU i nasi żołnierze. Chłopcy dla kawału ubrali na głowy niemieckie hełmy, jakich mnóstwo poniewierało się po starych magazynach. Tak wystrojeni, pojechali autami do Nowej Soli, bo tamtejszy urząd miasta wzywał pomocy. W miasteczku, na widok pędzących aut pełnych żołnierzy w niemieckich hełmach, wybuchła panika. Mieszkańcy byli przekonani, że to Werwolf uderzył na miasto. Auta zatrzymały się przed Urzędem Bezpieczeństwa, lecz budynek wydawał się kompletnie wyludniony. Ojciec, biorący udział w tej akcji, opowiadał nam potem ze śmiechem, że po długich poszukiwaniach, znaleziono UB-owców leżących pod biurkami, pochowanych na strychu i w piwnicy. Trzęśli się ze strachu w obawie, że Niemcy zaraz ich znajdą i postawią pod murem. Żołnierze i milicjanci, bynajmniej nie kochający się z UB-owcami, pokładali się ze śmiechu, wyciągając ich z kryjówek.

Zaopatrzenie w żywność ciągle szwankowało. W mieście brakowało mięsa, bo bydło i trzoda chlewna pozostawiona przez Niemców, poszły pod nóż i trafiły do garnka armii radzieckiej. Dla osadników nie pozostało prawie nic. Dopóki nie nadeszło lato i nowe zbiory, nie mieliśmy wcale owoców i jarzyn. Chleb, mąka, cukier i smalec wydzielane były na kartki. Na szczęście ojciec, rozmiłowany w myślistwie, często polował, przynosząc do domu zającą, kuropatwy, bażanta, z którego mama znająca doskonale sztukę kulinarną, przyrządzała wykwintny rosół. Ta pasja polowanie, o mało nie skończyła się dla ojca tragicznie.

Umówił się z leśniczym, że zapolują na dziki. Leśniczy zapewniał, że najpiękniejsze okazy żerują w puszczy koło Kliczkowa i Osiecznicy. Znajomy podrzucił ich tam bryczką, obiecując powrócić po nich rano. Obaj panowie umieścili się na wysokim drzewie, na poniemieckiej ambonie, pozostałej z czasów dawnych polowań i cierpliwie oczekiwali na nadejście stadka dzików. Ojciec posiadał znakomitą angielską dubeltówkę i zapewniał mamę, że przywiezie do domu dzika wielkiego jak piec! Ściemniało się, ale dziki jakoś nie chciały się pokazać. Naraz w gęstwinie krzewów rozległ się podejrzany szelest i ojciec błyskawicznie wycelował, czekając na pojawienie się dzika lub sarny. Leśniczy również podniósł karabin, gotując się do strzału. Szelest się zbliżał i obaj panowie ucieszyli się, że całe stadko wyjdzie wprost na nich.

Zarośla rozchyliły się, a ojciec w ostatniej chwili zdjął palec z cyngla i oniemiał. Zamiast oczekiwanych dzików, z gąszczu wyszli ludzie. Byli w maskujących panterkach, uzbrojeni w pistolety maszynowe i ciągnęli za sobą małe wózki z ciężkimi karabinami maszynowymi. Obaj panowie skulili się na ambonie, bojąc się nawet głośniejszemu odetchnąć. To był oddział Werwofu, osławionych „Wilkołaków”, w liczbie około trzydziestu ludzi. Co gorsza, mieli z sobą psy, duże groźne wilczury. Na szczęście dla pechowych myśliwych, wiatr wiał od strony Niemców i psy ich nie zwęszyły, zajęte świeżymi tropami zwierzyny. Niemcy przez jakiś czas kręcili się w pobliżu ambony, a kiedy nareszcie sobie poszli, była już ciemna noc i nie podobna było łązić po ciemku, narażając się na spotkanie z nieprzyjacielem. Ojciec i leśniczy całą noc przeleżeli plackiem na ambonie, dziękując Bogu, że wcześniej niż Niemcy, nie wyszedł dzik, do którego by strzelili. Taki strzał kosztowałby ich życie.

Z ręki Werwofu ginęło wielu ludzi. Opowiadano sobie o bestialskim okrucieństwie, z jakim mścili się na niewinnych osadnikach. Partyzantka niemiecka napadała na transporty samochodowe i kolejowe, a latem podpalała lasy otaczające kręgiem Bolesławiec. Nie przypominam sobie tego zbyt dokładnie, lecz był zdaje się rok 1947 i bardzo upalne lato, suche i gorące. Wtedy Werwolf podpalił okoliczne lasy. Przeżyliśmy wówczas prawdziwe piekło, miasto tonęło w dymach, a upał i gorąco z palących się lasów, był nie do zniesienia. Dusiliśmy się, a władze miasta zastanawiały się nad ewakuacją mieszkańców. Pamiętam, że ojciec zabrał mnie na wieżę kościoła ewangelickiego. Po zniszczonych schodach wspięliśmy się na sam szczyt, a wtedy naszym oczom ukazał się przerażający widok. Całe miasto otaczała ognista wstęga płomieni. Gdziekolwiek skierowaliśmy wzrok, wszędzie widzieliśmy ogień, a nad lasami unosił się gęsty, czarny dym, zasnuwając całą

horyzont. Do akcji zmobilizowano wojsko, milicję, ludność cywilną. Mężczyzn zabierano nawet siłą z nad Bobru, w samych kąpielówkach. Oczekiwaliśmy, że lada chwila burmistrz zarządzi ewakuację. Ale Bóg strzegł! Straszne upały wyładowały się w potężnej burzy z gradobiciem, a ulewa ugasiła pożar.

Następnym zadaniem była akcja odgruzowania miasta, aby przystąpić do odbudowy. Rozpoczęto od Rynku. Od ulicy Prusa, aż do miejsca, gdzie obecnie stoją wieżowce przy Zygmunta Augusta i Parkowej, ciągnęły się wąskie tory, po których pchaliśmy niewielkie wagoniki pełne gruzu. Nie uszkodzone cegły układano w stosy, aby posłużyły przy odbudowie. W odgruzowaniu brali udział wszyscy. Gospodynie domowe, urzędnicy, młodzież, wojsko, nawet dzieci. Gruz wysypywaliśmy do wielkich dołów na miejscu dzisiejszych wieżowców. Pracowaliśmy bez rękawic ochronnych i wracając do domu, miałam często dłonie poranione do krwi. Żelazne wózki z gruzem były niesamowicie ciężkie, ale od tej pracy nie można się było wykręcić, to był obywatelski obowiązek. Codziennie pociągi przywoziły nowych mieszkańców, a oni musieli gdzieś mieszkać, więc domy wyrastały jak grzyby po deszczu. Chłopi przenoszeni z zapadłych wsi Polski Centralnej i Wschodniej, przybywali z kojcami pełnymi kur, kaczek, królików, zajmując pachnące świeżością mieszkania w nowych domach. Wesole opowieści o trzymanyh w wanach świniach i królikach, wcale nie są dowcipami. Na próżno straż porządkowa chodziła po strychach i mieszkaniach, zabraniając trzymania w tych miejscach trzody chlewnej i drobiu. Nowi mieszkańcy miast byli bezkarni. Nie próbowano nawet nauczyć ich kultury i zachowania w mieście, bo ustrój po prostu przewracał im w głowach. Każdy, kto ośmieliłby się skrytykować byłego chłopca, lub robotnika, potraktowany zostałby jako wróg klasowy i naraziłby się na spotkanie z Urzędem Bezpieczeństwa. I śmiesznie i strasznie, ale takie to były czasy. Dzisiejsi sprawcy brudnych, porysowanych klatek schodowych i ścian zewnętrznych budynków, to w prostej linii potomkowie tych pierwszych mieszkańców miast Dolnego Śląska. „Czego się Jaś nie nauczył, tego Jan umiał nie będzie.” Ale to tylko dygresja.

Wraz z napływem ludności, śmierć coraz częściej zbierała obfite żniwo. Niemal codziennie były nowe ofiary. Ginęli żołnierze, milicjanci, urzędnicy cywilni, kobiety i dzieci. Prócz morderstw dokonywanych przez Niemców, żołnierzy radzieckich, i polskich bandytów, ludzie ginęli od niewybuchów, leżących dosłownie wszędzie. Umierali na skutek chorób, braku lekarstw i wykwalifikowanej opieki medycznej. Codziennie dowiadywaliśmy się o nowych zabitych, a cmentarz zapełniał się grobami Polaków. Raz po raz wybuchały w różnych miejscach miny-pułapki, umieszczane nawet w meblach. Wieczorami bandy bijanych żołdatów włóczyły się po mieście, groźne i zdemoralizowane. Często zdarzały się prawdziwe bitwy, pomiędzy nimi, a Polakami. W czasie jednej z takich potyczek, pan Berek, Lwowianin i szewc z zawodu, wykrzyknął tryumfalnie:

- Ta joj! Tatuńciu, alem sobi Ruska kopnął, jak piłkę na boisku na Łyczakowi!

W mieście, nawet w jasny dzień, było bardzo niebezpiecznie. Ani mama, ani ja, nie wychodziłyśmy po zakupy bez uzbrojonej eskorty. Wyjeżdżając bryczką na spacer, zawsze miałyśmy towarzystwo dwóch uzbrojonych żołnierzy, a w domach osadników były istne magazyny broni palnej, gdyż nikt w tych czasach nie był pewien mienia i życia. W Bolesławcu brakowało rzemieślników, więc z konieczności trzeba było zatrudnić fachowców Niemców. Przychodzili elektrycy, hydraulicy, stolarze, szklarze, na których było ogromne zapotrzebowanie. Doskonale pamiętam elektryka, zakładającego nam w mieszkaniu prąd. Był wysoki, szczupły i miał zimne oczy, mało się odzywał. Potem okazało się, że był to dowódca tajnej organizacji niemieckiej Freies Deutschland (Wolne Niemcy) kpt. Luftwaffe, inż. Artur Kuhne. Gruby i gadatliwy stolarz naprawiający nam sfatygowane meble, również był członkiem tej organizacji. W czerwcu 1946 roku, odbył się we Wrocławiu proces, w wyniku którego kilku członków tej złowrogiej organizacji skazano na karę śmierci. Wtedy to okazało się, że mama i ja, znajdowałyśmy na początku w samym gnieździe spisku. Dowiedziałyśmy się, dlaczego do doktor Daum ciągnęły gromady mężczyzn, których widziałam w kuchni Frau W. i w gabinecie lekarki. Okazało się, że Frau Arztin Brigitte

Daum, członkini Freies Deutschland, zaufana lekarka Werwolfu, w swoim gabinecie wypalała SS-manom grupę krwi, wytatuowaną pod lewym ramieniem. Po tym właśnie znaku rozpoznawano byłych żołnierzy Waffen - SS. W całym domu śmierdział eter, którym lekarka znieczulała im rany. Doktor Daum uniknęła szubienicy, bo zakochał się w niej nasz piękny sąsiad, oficer radziecki i umożliwił jej ucieczkę do Szwajcarii, sam także wybierając wolność. Frau W. także nie została pociągnięta do odpowiedzialności, nie wiadomo dlaczego, i w latach pięćdziesiątych wyjechała z dziećmi do Niemiec.

Mama dostała od siostry wełnę i oddała ją pewnej Niemce, znanej z pięknych robót na drutach. Jej mąż, bardzo przystojny mężczyzna, był prawdziwą "złotą rączką" i często bywał u nas w domu, naprawiając różne zepsute przedmioty, czy instalacje. Oboje byli młodzi i bardzo sympatyczni. Pewnego dnia, Niemka przyniosła gotowy sweterek i wzięwszy pieniądze, poprosiła mamę o chleb i trochę wędliny, bo zamierzała zrobić mężowi niespodziankę urodzinową. Mama mająca dobre serce, obdarowała ją wszystkim, co było w spiżarni i powiedziała, żeby przyszła nazajutrz, to dostanie więcej pieniędzy, a conto przyszłej pracy. Uradowana kobieta podziękowała mamie wylewnie i poszła. Jednak kiedy nie pokazała się przez kilka następnych dni, mama zaczęła się o nią dopytywać. No i bomba pękła! Sympatyczni Niemcy, zabrali otrzymaną od mamy żywność i dali nogę w siną dal. W ostatniej chwili, bo następnego dnia przyszła po nich milicja. Oboje byli SS-manami, strażnikami z obozu koncentracyjnego. Rozpoznał ich przypadkiem były więzień obozu i doniósł do milicji. Ten przystojny, wesoły i uśmiechnięty mężczyzna, i miła, ładna kobieta, traktowali w obozie więźniów z wyjątkowym okrucieństwem.

W miarę upływu czasu, przybywało w mieście coraz więcej sklepów prywatnych i państwowych. Mięsa było już pod dostatkiem, a wędliny wprost palce lizać! Otworzyli sklep i warsztat masarski państwo Kurzawscy z Poznania, wytwarzający znakomite przetwory mięsne znane w Wielkopolsce. To u nich zawsze mama się zaopatrywała. Ich sklep znajdował się na rogu ul. Karpeckiej i 1- Maja, w nie istniejącej już kamienicy, a szeroki asortyment wędlin, przyprawiłby o zawrót głowy dzisiejszych wytwórców. Zaraz po nich, otworzyli sklep mięsny państwo Kumosińscy, Borowieccy i Czubkiewiczowie. Na miejscu dzisiejszej restauracji „Pod Aniołem” pan Bonin otworzył drogerię. Mama kupowała u niego wodę kwiatową „Chypre” i krem „Śnieg Tatrzański” z krakowskiej firmy Miraculum. Do dzisiaj pamiętam jego śliczny liliowy zapach.

Także w Rynku, w miejscu dzisiejszej Cepelii, otworzyła komis pani Miąskowa. O ile mnie pamięć nie myli, również w Rynku pani Lisiecka miała sklep odzieżowy. Tam gdzie dziś mieści się w Rynku sklep z porcelaną i szkłem, był niewielki lokal „Lucynka”, z wieczornym dansingiem. W nieistniejącej już kamienicy, obok również nie istniejącego hotelu „Piaś”(obecnie trawnik w dole kościoła) porucznik A. otworzył restaurację z dansingiem „Lwowianka”. Do dobrego tonu należało wtedy, spotkać się tam ze znajomymi na kolacji, przy muzyce i trochę potańczyć. Powoli zaczynaliśmy żyć jak ludzie cywilizowani. Przedwojennym zwyczajem, w niedzielę mama nie gotowała obiadu, tylko szliśmy we trójkę, lub w towarzystwie znajomych oficerów, do restauracji „U kuchmistrza” na ulicy 1- Maja. Obecnie mieści się tam chyba warsztat krawiecki. Mój Boże, takiego sandacza, takich jajek faszerowanych i kotleta schabowego już nigdy nie będę jadła. To był znakomity przedwojenny restaurator, jakich dziś już nie ma.

Na święta tradycyjnie zjeżdżała się rodzina i przychodzili znajomi. Było tak wesoło! Mama przygotowywała mnóstwo ciast, które piekło się nie w domu, lecz u piekarza, mającego zakład w podwórzu przy ulicy Chrobrego i Ciesielskiej. Z Gdyni przyjeżdżał mój brat cioteczny Stefan, marynarz na okręcie wojennym. Bardzo go kochałam i byłam z niego taka dumna. Z Rzeszowa przybywała ciocia Stasia i dawała nam koncerty na odrestaurowanym pianinie. W soboty odbywały się u nas próby kabaretu. Schodziło się tyle osób, że nie dla wszystkich starczyło miejsca, więc panie i panowie rozsiadali się na dywanie przykrywającym podłogę w gabinecie. Nasz gościnny dom, upatrzili sobie oficerowie z DOW we Wrocławiu i przyjeżdżali do nas, jak do hotelu przekonani, że zawsze zostaną mile przyjęci i poczęstowani obiadem. Potrafili obudzić nas w środku nocy, bo akurat wtedy przyjeżdżał pociąg. W końcu mamie się to znudziło i poradziła

panom, żeby poszukali noclegu w hotelu oficerskim!

Przy ulicy Daszyńskiego otwarto sklep spożywczy, a w nieistniejącym dziś domu, na miejscu sklepu obuwniczego, był sklep państwa Kuczmów. Na Asnyka, tam gdzie dziś jest sklep z materiałami, był budynek Straży Pożarnej, a reszta ulicy leżała w gruzach. Po drugiej stronie ulicy, chyba na miejscu Placu ks. Popiełuszki, znajdowało się gospodarstwo i tam chodziło się po mleko prosto od krowy! Na ulicy Kubika, pan Najder otworzył pierwszą w mieście aptekę. Wielka szkoda, że została zamknięta, bo były tam piękne zabytkowe meble. Z pierwszych bolesławieckich lekarzy, zapamiętałam doktora Markiewicza i leczących nas lekarzy wojskowych: doktora Kłosowskiego i bardzo przystojnego doktora Dubrawę, mającego piękną żonę i śliczną córeczkę Kingę. Doktor Józef Kłosowski uratował ojcu nogę przed amputacją, operując go w naszym mieszkaniu! Wyciągnął ojca z czerwonej i ropnego zapalenia woreczka żółciowego, a mnie z ciężkiego porażenia, stając się naszym lekarzem domowym. Był znakomitym lekarzem, byłym żołnierzem AK i uczestnikiem Powstania Warszawskiego. Przypominam sobie wspaniałego doktora Stępienia, późniejszą sławę medyczną, ordynatora Kliniki Chirurgicznej w Krakowie. Będąc naszym gościem, wyprosił mamę z kuchni i przewiązawszy się jej fartuszkami, przygotował nam przepyszny rosół z bażanta, upolowanego przez ojca. Ja i mama siedziałyśmy sobie w tym czasie w gabinecie i chrupałyśmy jabłka....

W pierwszych latach po wojnie, na terenie całych Ziemiach Odzyskanych, wybuchła istna epidemia poszukiwania skarbów, rzekomo ukrytych przez Niemców. Owszem, zdarzało się, że od czasu do czasu, ktoś znajdował przypadkiem ukryte jakieś drobne błyskotki. Ludzka wyobraźnia zaraz mnożyła te „skarby”, zamieniając je, w co najmniej, klejnoty koronne! Ludzie dosłownie dostawali bzika i demolowali własne mieszkania, rozbijając ściany, przekuwając piwnice i przekopując ogrody, w chęci łatwego wzbogacenia się. Dla mnie to szaleństwo omal nie skończyło się tragicznie.

Przypadkiem usłyszałam, że jakaś pani znalazła w piwnicy skrzynkę z biżuterią o dużej wartości. Przetrawiwszy tę doniosłą informację, postanowiłam sama zająć się poszukiwaniem skarbów, bo wiedziałam z doświadczenia, że w tej sprawie na rodziców liczyć nie mogę. Jakoś nie byli tym zainteresowani. Dziwne, co? Najpierw zaczęłam ostukiwać ściany w naszym mieszkaniu, poszukując ukrytego w nich schowka. Mama i tata przyglądali się moim poczynaniom z lekkim osłupieniem i pobłażliwym uśmiechem. Wszak dzieci mają bujną fantazję, z której po latach wyrastają. No, nie zawsze!.... Machnęłam na nich ręką, wyobrażając sobie miny rodziców, kiedy ujrzą znaleziony przeze mnie skarb! Doszłam do wniosku, że nasze mieszkanie nie kryje żadnych tajemnych schowków, wobec tego, postanowiłam szukać w innych miejscach.

Pewnej letniej niedzieli, wybieraliśmy się z wizytą do znajomych. Mama wystroiła mnie w białą tiulową sukienkę i poleciła, żebym przez chwilę pobawiła się na podwórku do czasu, aż ojciec się przebierze. Wyszłam na podwórze i spojrzałam na ruinę sąsiedniego domu, która intrygowała mnie od pewnego czasu. Kamienica runęła pod uderzeniem pocisku, czy bomby, aż gruzy wysypały się na podwórze, ale dziwnym trafem piwnice ocalały. Po zasypanych cegłami schodkach, zeszłam do ciemnego podziemia i znalazłam się w długim, mrocznym korytarzu piwnicznym. W stęchłym mroku, rozświetlonym małą szczeliną w pękniętym suficie. Rozglądałam się uważnie, od czasu do czasu pukając w ściany kawałkiem cegły, aby sprawdzić, czy nie trafię na próżnię. Nic nie znalazłam i zawiedziona dotarłam do końca korytarza. Naraz pod nogami usłyszałam głuchy odgłos. Podniecona, zaczęłam gorączkowo odrzucać gruz i kawałki muru, nie zważając, że moja śnieżna sukienka stała się dziwnie szara. Ukłękłam na posadzce, grzebiąc zawzięcie i wkopując się coraz głębiej. Ręce krwawiły mi, poranione o ostre krawędzie cegieł i potłuczone szkło. Oberwałam falbankę u sukni, a wielka kokarda przekrzywiła mi się na jedno oko i przeszkadzała w pracy. Zerwałam ją z głowy i odrzuciłam zdecydowanym ruchem. Teraz już byłam pewna, że jestem na dobrym tropie. Co znaczyła podarta sukienka i kokarda, w porównaniu ze skarbem, który za moment znajdzie się w moich rękach.

W wyobraźni widziałam już siebie, niosącą w strzępkach tiulowej sukienki wspaniałe

klejnoty: brylantowe naszyjniki, złote pierścienie i bransolety usiane drogimi kamieniami. Widziałam mamę, załamującą ręce na mój widok, a potem zdumioną i olśnioną widokiem znalezionych skarbów. Były to tak piękne marzenia, że nie mogłam się już doczekać tej cudownej chwili. Pod odrzuconym gruzem ukazał się okrągły stalowy właz, zamykający wejście do lochu, w którym Niemcy ukryli kosztowności. Złapałam stalowe ucho i szarpnęłam, zaledwie drgnęło...Oj, ciężko! Poranione ręce bolały mnie bardzo, więc zawinęłam ucho w skraj sukienki i z całej siły pociągnęłam, stojąc w szerokim rozkroku i zgięta jak scyzoryk. Ciężki właz z hukiem odleciał, a ja z rozpędu wpadłam w okrągły otwór! W ostatniej chwili wpiłam się palcami w obudowę włazu i zawisłam nad otchłanią.

Na moment strach sparaliżował mnie całkiem i wisiałam nieruchomo, wszczepiona kurczowo w stalowy pierścień włazu. Czułam, że ciężar ciała ciągnie mnie w głąb studni i że pogrążam się w gęstej, obrzydliwie cuchnącej mazi. Zaczęłam rozpaczliwie szukać nogami jakiejś szczeliny, aby wetknąć tam stopę i podnieść się do góry. Ale moje wierzgające nogi ciągle trafiały na gładką i oślizłą ścianę. Palce omdlewały mi od dźwigania ciężaru ciała, sprawiając okropny ból. Zdawało mi się, że lada chwila krew tryśnie mi spod paznokci. Z otworu studni wydobywał się ohydny smród, zatykając mi oddech i odbierając prawie przytomność. Obawiałam się, że za kilka sekund palce odmówią mi posłuszeństwa i runę w cuchnącą głębię studni. Zrobiło mi się słabo, żołądek podchodził mi pod gardło, a przeraźliwy strach dosłownie mnie paraliżował. Czując nadchodzącą śmierć, zaczęłam się miotać i naraz moja prawa stopa natrafiła na wąską szczelinę w ścianie studni. Zebrałam resztę sił i wsunawszy w nią koniec sandałka, jak sprężyna rzuciłam się w górę. Wpół żywa i niemal uduszona upadłam na cementową posadzkę i nie miałam siły, żeby się podnieść. Byłam w okropnym stanie, miałam straszne zawroty głowy, męczyły mnie wymioty, a ramiona i palce bolały jak powyrywane. Spod paznokci sączyła się krew. Leżałam długo dysząc jak astmatyk i nie miałam siły żeby cieszyć się, iż uniknęłam okropnej śmierci. Modliłam się tylko, jak jeszcze nigdy w życiu.

Dopiero po jakimś czasie podniosłam się i wolno, jak zgrzybiała staruszka, krok za krokiem, powlokłam się po schodkach i wyszłam na podwórze. Osłepiło mnie jaskrawe światło słońca, oparłam się o mur i z rozkoszą wdychałam świeże powietrze, pachnące kwiatami. Każda żyłka trzęsła się we mnie ze strachu i wstrząsającego przeżycia. Pościerane do krwi ręce i nogi nieznośnie piekły, a serce waliło tak mocno, że chwilami nie mogłam złapać tchu. Z oddali usłyszałam nawołujący mnie głos mamy, ale nie miałam siły żeby odpowiedzieć. Szukająca mnie na podwórzu mama, nareszcie mnie dostrzegła i z przerażenia chwyciła się za głowę.

- Jezus Maria, Ela, jak ty wyglądasz?

Jej głośny okrzyk przywołał ojca i kilku żołnierzy, opalających się w ogrodzie. Otoczyli mnie kołem, wpatrując się we mnie z otwartymi ustami. Zrobiłam niewinną minę i nieznacznie zaczęłam się otrzępywać z oblepiającej mnie mazi.

- Gdzie ty się podziewałaś? Szukam ciebie od godziny! Boże, jak ty wyglądasz! - lamentowała mama, przezornie trzymając się z dala ode mnie. - Co ty robiłaś?

- Szukałam skarbów. - odpowiedziałam zgodnie z prawdą.

Chłopcy, jak na komendę, ryknęli śmiechem i zaczęli tarzać się po trawie piszcząc z uciechy. Rodzice patrzyli na mnie z niedowierzaniem, a potem także się roześmieli. Obserwowałam ich twarze i urażona okazywaną wesołością, nic z tego nie rozumiałam.

- Szukałaś skarbów i je znalazłaś, bo cała jesteś nimi oblepiona! - rechotali żołnierze, nie przestając się śmiać i ocierając łzy płynące im z oczu.

Spojrzałam po sobie i omal nie padłam ze wstydu. Do połowy ciała unurzana byłam w... Ach, szkoda gadać! To świństwo ściekało mi po sukni, chlupało w butach, oblepiało nogi. Cuchnęłam jak skunks! Pierwsza opanowała się mama i trzymając się ode mnie z daleka, poleciła mi zrzucić całą podartą odzież. Dwaj żołnierze przynieśli dużą cynową wannę i mama, zmieniając co chwilę wodę, prała mnie co najmniej pół godziny! Jednocześnie prowadziła mi kazanie, od którego wołałabym kilka mocnych klapsów. Nikt jednak mnie nie pytał, co wolę, więc musiałam w pokorze

wysłuchać wielu przykrych słów. Potem wysmarowała mnie dokładnie spirytusem i maściami przeciwgrzybicznymi. Kiedy przyciśnięta do muru wyznałam, co się wydarzyło, natychmiast przestano się ze mnie śmiać, a mama omal nie zemdłała, wyobraziwszy sobie, jaką potworną śmiercią mogłam zginąć. Ojciec ochłonawszy z wrażenia zagroził, że osobiście sprawi mi lanie oficerskim pasem, jeżeli nadal będę postępowała bez zastanowienia, i narażała się na niebezpieczeństwo. Przez dłuższy czas, mama w obawie o moje życie, nie puszczała mnie na krok od siebie, wiedząc z doświadczenia, że kocham szukać guza. Chłopcy dokuczali mi niemiłosiernie, ale ta straszna przygoda oduczyla mnie raz na zawsze od pasji poszukiwania skarbów. Przez wiele lat nawiedzały mnie we śnie koszmary, że wiszę nad niezgłębioną studnią, a potem w nią wpadam.

Lata pionierskie przyniosły mi jeszcze wiele przygód, mniej lub bardziej niebezpiecznych, lecz to już osobny rozdział mego życia i do tej historii nie należy.

Jakiś czas potem, osadnikami wstrząsnęła wiadomość o śmierci burmistrza pana Kubika. Zginął, natknąwszy się na ponemiecką minę- pułapkę ukrytą w szafie odzieżowej. Ginie tragicznie wielu urzędników i niemal co tydzień uczestniczymy w czymś pogrzebie. Na cmentarzu gromadzą się wtedy wszyscy mieszkańcy miasta. Jest nas przecież jeszcze tak niewielu. Na rękach mamy zmarł synek przybyłego właśnie nowego oficera. Miał zapalenie płuc i nie można już go było uratować. Przez długi czas nie potrafiłam otrząsnąć się z przygnębienia.

Boże, o mały włos moglibyśmy wszyscy zginąć! Dowiedzieliśmy się, że organizacja Freies Deutschland, zamierzała w wyznaczonym z góry dniu, wysadzić w powietrze najważniejsze urzędy i zakłady, siedzibę milicji, UB, a także między innymi RKU! Tylko nieprzewidziana wyspa organizacji, wydanej przez pijanego Niemca, który wygadał się przedwcześnie, uratowała nas od śmierci.

Czasy są coraz trudniejsze. Przez pantoflową pocztę wiemy, że w Polsce Centralnej następują masowe aresztowania byłych żołnierzy Armii Krajowej. Nowy rząd nie zamierza tolerować własności ziemian polskich, nie tylko odbierając im ziemię, ale wyrzucając z dworów i pałaców, będących własnością rodów polskich od setek lat. Babcia Marynia, siostra babci Pelagii, starała się w Poznaniu o zwrot zagrabionej ziemi, lub chociaż godziwą rekompensatę. Oświadczone jej uprzejmie, że nie dostanie grosza, bo nowa władza zamierza na tych żyznych, doskonale zagospodarowanych terenach założyć Państwowe Gospodarstwo Rolne, czyli PGR! Na otarcie łez, zwrócono jej koszty biletu. Za dwa tysiące hektarów, dwór, sklep we wsi, torfowiska i lasy, otrzymała tysiąc złotych! Nikt się nie zatroszczył, z czego ta stara, schorowana kobieta ma się utrzymać. Władza Ludowa nie kocha „obszarników i wyzyskiwaczy”, więc do piachu z nimi!

Żyjemy w strachu o ojca i rodzinę. Wszyscy byli żołnierzami AK, dziadek Michał, ojciec mamy, przedwojenny oficer policji, został aresztowany. Na szczęście udało mu się wydostać z łap UB, lecz utracił prawo do pracy. Musi zarabiać na życie, stojąc z wagą na ulicy albo rysować plany architektoniczne rezydencji, dla nowej ludowej „arystokracji”. Pracując ciężko fizycznie, dorobił się raka. Leżał tylko dwa tygodnie w szpitalu. W chwili zgonu wykrzyknął: - Ludobójcy!

Byłyśmy z mamą świadkami przerażającego widowiska. Rano, idąc na targowisko, przechodziłyśmy koło dworca PKP. Właśnie przyjechał pociąg z Wrocławia, z którego wysiadło kilku UB-owców, prowadząc trzech więźniów skutych kajdanami. Wyglądali strasznie, mając na głowach worki z otworami na oczy. Między nimi była kobieta w zaawansowanej ciąży. Byli to prawdopodobnie członkowie nielegalnej, podziemnej organizacji, powstałej po wojnie. Bardzo surowo sądzeni, często są skazywani na karę śmierci. Do takich organizacji należała nawet młodzież szkolna. Będąc w drugiej klasie szkoły podstawowej, (przy ul. Tyrankiewiczów) pamiętam dokładnie, że pewnego dnia, w czasie lekcji, przed szkołę zajechały dwa auta osobowe. Wysiadło z nich kilku ponurych osobników. Nie potrudziwszy się nawet do dyrektora, weszli na II piętro, gdzie mieściły się klasy gimnazjalne. Z ust do ust, wiadomość o tym przedostała się do wszystkich klas. Nauczyciele natychmiast przerwali lekcje, a nasza wychowawczyni, pani Wiktoria Galkiewicz, bardzo zdenerwowana wybiegła na korytarz, za nią uczniowie. Jakby w telepatycznym porozumieniu, drzwi klas kolejno się otwierały i wychodzili z nich nauczyciele oraz uczniowie.

Staliśmy na korytarzu przy schodach w całkowitym milczeniu. Po jakimś czasie UB-owcy zeszli z góry, prowadząc między sobą kilku chłopców z klasy maturalnej. Odprowadziliśmy ich wzrokiem do drzwi. Nie wiem, jakie były ich dalsze losy. Zabroniono nam rozmowy na ten temat. W Ratuszu, na pierwszym pięttrze od strony „Starówki” mieścił się wtedy posterunek milicji. Dokoła Ratusza było targowisko, na którym mama robiła zakupy. Przypominam sobie, że tego dnia w oknie posterunku, ukazał się jakiś mężczyzna. Wychylony, szarpał się z trzymającymi go milicjantami i rozpaczliwie wzywał pomocy. W owych latach terroru, ludzie byli tak stłamszeni i zastraszeni, że każdy wolał udawać, że niczego nie widzi, nie słyszy i uciekał co sił w nogach, by nie odpowiadać przed sądem za gapiostwo! Mężczyzna widząc, że nikt nie śpieszy mu na ratunek, wyrwał się z rąk milicjantów i wyskoczył z okna. Upadł głową na bruk i prawdopodobnie się zabił, bo nie dawał znaku życia. Mama bliska zemdenia, błyskawicznie pociągnęła mnie za sobą i obie wpadłyśmy do kościoła, wiedząc z doświadczenia, że świadkowie tragicznego wydarzenia, mogą mieć bardzo nieprzyjemną rozmowę w Urzędzie Bezpieczeństwa. Ten biedak krzyczał, że go torturują, mówił jak się nazywa i prosił, żeby powiadomić jego rodzinę. Może pomiędzy przechodniami znalazł się ktoś, kto spełnił jego ostatnią prośbę.

Przypominam sobie z lat dziecińczych jeszcze jeden wstrząsający wypadek. Jechaliśmy z mama pociągiem do Katowic. Na jednej ze śląskich stacji wsiadła do wagonu zapłakana kobieta. W przedziale byłyśmy same i ta kobieta. Zwierzyła się nam w zaufaniu, że jedzie do syna przebywającego w katowickim więzieniu. Chłopak gdzieś znalazł poniemiecki pistolet. Nie wiedział, że był nabity jednym nabojem. Strzelił i trafił w mur. Ktoś doniósł do UB, że chłopak ma broń palną. Został aresztowany, oskarżony o zamach na władzę ludową i skazany na..... karę śmierci! Nie przesadzam, matka rozpacziała i próbowała syna ratować wszelkimi dostępnymi sposobami, ale miała niewielką szansę na uratowanie syna od stryczka. Chłopiec miał 14 lat!

Podobno chińskie przekleństwo brzmi: „Obyś żył w ciekawych czasach” Myśmy mieli nieszczęście żyć w bardzo ciekawych i strasznych czasach!

Spotkała mnie wielka przykrość. Mieliśmy w domu pianino, przyznane nam jako rekompensatę po straconym w czasie wojny fortepianie, stojącym w naszym poznańskim mieszkaniu. Ojciec i ciocia Stasia doprowadzili stary instrument do stanu używalności, wylepiając młoteczki i godzinami go strojąc. Był w bardzo dobrym stanie, a ja zaczęłam na nim ćwiczyć, chodząc na lekcje muzyki do klasztoru zakonnicy, przy ulicy Zgorzeleckiej. Lekcji gry na fortepianie udzielała mi sama matka przełożona. Pewnego deszczowego dnia, zajechał przed nasz dom wóz drabiniasty, a do drzwi zapukało czterech facetów, pokazując zdumionej mamie polecenie kogoś bardzo ważnego, aby natychmiast wydała pianino, bo jest ono potrzebne w jakiejś wiejskiej świetlicy. Na nic nie zdały się energiczne sprzeciwy mamy tłumaczącej, że instrument został nam przyznany. Mężczyźni wpakowali się do mieszkania i pianino zabrali niemal siłą! Ładując je na wóz, przy sposobności złamali pedał, zdarli tylne poszycie i oderwali oryginalne kinkiety do świec. Płakałam głośno, obserwując przez okno, jak moje kochane pianino trzęsie się i moknie nie okryte, jadąc na drabiniastym wozie!

Zbliżał się wrzesień 1946 roku. W pewnej słoneczny poranek, mama obudziła mnie bardzo wcześnie i dopilnowała, żebym się szczególnie starannie ubrała. Zastanawiałam się, gdzie pójdziemy o tak wczesnej porze. Trzymając mnie za rękę, mama weszła ze mną do budynku przy dzisiejszej ulicy Bankowej. W korytarzach pełno było ludzi, matek z dziećmi w moim wieku, a nawet dorosłej młodzieży. Wyobraziłam sobie, że pewnie czeka mnie jakieś szczepienie i rozglądałam się w panice, aby na wszelki wypadek dać nogę. Ale mama trzymała mnie mocno za rękę i nie puszczała. W dużej sali na parterze, pełno było nagromadzonego sprzętu, jakichś starych krzeseł, stolików nie do pary i innych gratów. Rozejrzałam się ze strachem, szukając wzrokiem lekarza w białym fartuchu, ale nie dojrzałam nic strasznego i trochę się uspokoiłam. Obecne w sali dzieci i młodzi ludzie, mieli przy sobie jakieś obszarpane książki i zeszyty. Na brudnej ścianie wisiała tablica.

- Mamo, po co tu przyszłyśmy? - spytałam zdumiona.

Mama przyznała się ze śmiechem, że chciała mi zrobić niespodziankę i przyprowadziła mnie do szkoły! Raczej nie byłam zachwycona utraconą nagle swobodą, którą bardzo kochałam. W domu mówiło się, że niedługo pójdę do szkółki, „by się uczyć i pracować, jak te złote pszczołki”! Oj, to mi się wcale nie podobało ale sądziłam, że to odległa przyszłość, więc nie ma się co martwić.

- E, co to za szkoła! - pogardliwie wrzusiłam ramionami. - Przecież do pierwszej klasy chodzą małe dzieci. A tu widać dorosłych!

Mama wytłumaczyła mi, że tym ludziom wojna przerwała naukę i teraz muszą nadrobić stracony czas. Obserwowała mnie przy tym podejrzliwie, zaniepokojona moim diablím uśmieszkiem. A ja byłam niepokieszona. To ma być szkoła? Taka graciarnia? Brudna i brzydka buda? Czego mnie tu nauczają, chyba każą wyszorować podłogę, bo wygląda jak klepisko. „O, nie ma głupich, nie zamierzam tu chodzić. - postanowiłam twardo. - Zwieję, jak tylko mama zamknie za sobą drzwi klasy!” Z opowiadań rodziców wiedziałam, że szkoła to poważna instytucja. W czystych, jasnych salach stoją ławki, na środku katedra z globusem, tam leżą mapy, książki i inne mądre przedmioty. Wszystkie dzieci mają mundurki i tornistry, a pan dozorca dzwoni na przerwy. To ja rozumiem! Ale w tym brudnym pokoju niczego podobnego nie było, a dzieci i dorośli ubrani byli w codzienną odzież, często bardzo ubogą. Poczułam się oszukana i obrabowana z marzeń o uroczystym rozpoczęciu roku szkolnego. Właśnie zamierzałam oświadczyć mamie, że nie zamierzam tu zostać i wychodzę, gdy w otwartych drzwiach pojawiła się starsza, siwowłosa pani o mizernej twarzy i smutnych oczach.

Była to pani Teicher, przedwojenna nauczycielka i więźniarka obozu koncentracyjnego.

- Drogie dzieci i kochana młodzieży. - odezwała się cichym, zmęczonym głosem. - Siedem lat upłynęło od dnia, kiedy 1 września na Polskę spadły pierwsze bomby i wybuchła wojna. W tę tragiczną rocznicę rozpoczynamy nowy rok szkolny, pierwszy na tych ziemiach przywróconych Macierzy.

Wrzusiła mnie ta kobieta, nosząca na twarzy piętno cierpienia i okrutnych przeżyć. Ktoś z dorosłych, wyjął papierowego orła wyciętego z gazety, i przybił gwoździem nad tablicą. Ktoś inny powiesił krzyżyk. Pierwsza wspólna modlitwa: - Przybądź Duchu Święty....

Nauczycielka wzięła kredę i napisała wyraźnie na tablicy:

- Lekcja pierwsza. To Ala i As, pies Ali.

Spojrzałam zdumiona na mamę. Wygląda na to, że jest to jednak prawdziwa szkoła! Mama uśmiecchnęła się do mnie, a na dłoni poczułam mocny, krzepiący uścisk jej palców. Oto rozpoczynały się dla mnie nowe obowiązki, a moje szczęśliwe, beztróskie dzieciństwo kończyło się bezpowrotnie. Od tego dnia minęło wiele, wiele lat, dziś inne są już szkoły i inni uczniowie, ale ta pierwsza lekcja w polskiej, powojennej szkole, pozostała na zawsze w mej pamięci.

K o n i e c